ŁOWIEC POLSKI



W drodze na zapady. (Do art. „Setny głuszec", str. 206).

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 7 (927) 1 KWIETNIA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–

WRĘCZENIE „ZŁOMU" PREZESOWI ZWIĄZKU, PANU GENERAŁOWI BRONI KAZIMIERZOWI SOSNKOWSKIEMU

Prezes Polskiego Związku Łowieckiego, Pan Generał Broni Kazimierz Sosnkowski, przyjął w dniu 8 marca r. b. P. P.: Wiceprezesa Związku i Przewodniczącego Kapituły Odznaczeń Łowieckich — Generała Dyw. Kazimierza Fabrycego, Wiceprezesa Związku — Maurycego Hr. Potockiego, Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego — Prof. Józefa Gieysztora i Sekretarza Kapituły — Kazimierza Świderskiego, którzy wręczyli Panu Generałowi odznakę i dyplom najwyższego odznaczenia łowieckiego, „Złomu".

Odznaczenie to nadane zostało Panu Prezesowi Generałowi Sosnkowskiemu uchwałą Kapituły Odznaczeń Łowieckich, powziętą na specjalnem posiedzeniu w dniu 13 marca roku ubiegłego.

Przypomnieć należy, iż uchwała Kapituły była aktem wykonawczym powszechnej woli zorganizowanego łowiectwa polskiego, której jednomyślny odzew dało Walne Zgromadzenie Związku już w roku 1934

Podczas uroczystości wręczenia „Złomu", Przewodniczący Kapituły, P. Gen. Fabrycy, wygłosił następujące przemówienie:

Panie Prezesie

Na podstawie uchwały Walnego Zgromadzenia Związku z dnia 3 czerwca 1934 roku, mamy zaszczyt wręczyć Panu Generałowi nasze najwyższe odznaczenie łowieckie.

Już przed pięciu laty Walne Zgromadzenie Związku dało wyraz swej ocenie wybitnych i wyjątkowych zasług Pana Prezesa na polu łowiectwa, uchwalając przez aklamację nadanie Mu „Złomu". Podnoszę ten fakt, by stwierdzić, iż doręczenie tej zaszczytnej odznaki nastąpiło tak późno jedynie w wyniku woli Pana Generała, który zechciał odznaczenie swe związać z dalszemi sukcesami i osiągnięciami w realizacji zadań i celów Związku.



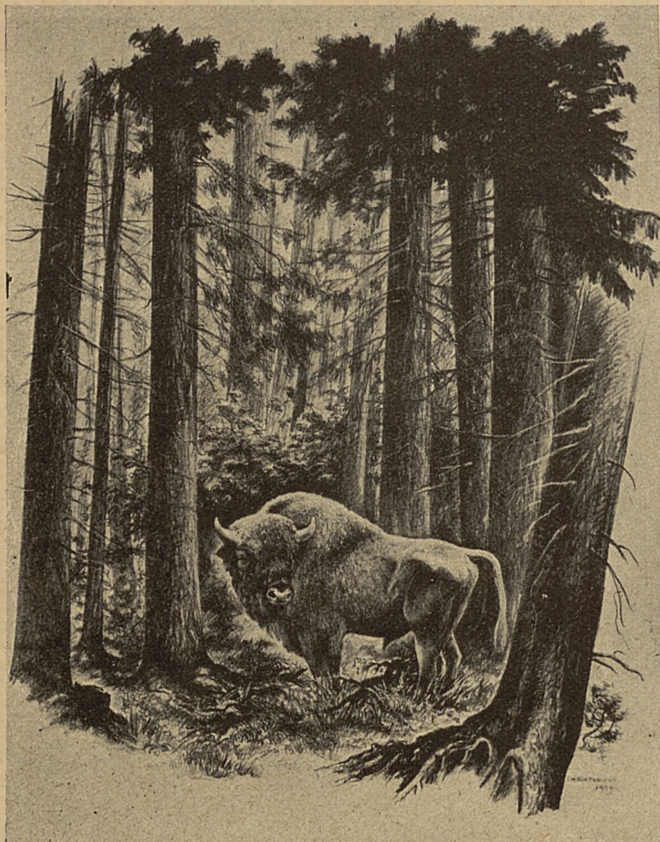
Generał Broni Kazimierz Sosnkowski, Prezes Polskiego Związku Łowieckiego
Fot. „Studio".

My — Prezydjum Związku, Kapituła Odznaczeń i Komitet Wykonawczy — pragniemy szczególnie podkreślić naszą głęboką wdzięczność i najwyższe uznanie dla pełnej wyjątkowych zasług pracy Pana Generała na niwie łowieckiej, nadając formalnemu wykonaniu uchwały Walnego Zgromadzenia możliwie wyjątkowy charakter —

Kapituła — przez decyzję wstrzymania się od nadawania wszelkich odznaczeń aż do chwili obecnej, aby tym doniosłym aktem rozpocząć nowy okres działalności odznaczeniowej,

Komitet Wykonawczy — przez ustalenie nowego wzoru dyplomu, którego oryginał mamy zaszczyt wręczyć Panu Generałowi.

Proszę przyjąć, Panie Prezesie, nasze najserdeczniejsze gratulacje oraz najlepsze życzenia dal-



POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
MA ZASZCZYT NADAĆ
SWEMU DŁUGOLETNIEMU
PREZESOWI
GENERAŁOWI BRONI
KAZIMIERZOWI
SOSNKOWSKIEMU
NAJWYŻSZE ODZNACZENIE
ŁOWIECKIE
ZŁOM
ZA ZASŁUGI
POŁOŻONE DLA ŁOWIECTWA POLSKIEGO

SEKRETARZ KAPITUŁY ODZNACZEŃ ŁOWIECKICH — PRZEWODNICZĄCY KAPITUŁY ODZNACZEŃ ŁOWIECKICH

WARSZAWA 13 MARCA 1938 ROKU

Dyplom „Złomu", wykonany dla P. Prezesa Związku przez Prof. Ostoję-Chrostowskiego. Photo-Plat.

szej, jak najdłuższej i równie owocnej pracy dla łowiectwa polskiego.

Na przemówienie to odpowiedział Pan Prezes Generał Sosnkowski:

Dziękuję za to wysokie odznaczenie, tak dla mnie zaszczytne i tak miłe memu sercu.

Cieszę się, że otrzymuję je z rąk starego przyjaciela, starego towarzysza broni, starego towarzysza łowów.

Istnieje pewna okoliczność, która mąci nieco moją radość. Pragnieniem mojem było, by dekoracja Prezesa Związku „Złomem" nastąpiła po znowelizowaniu ustawy łowieckiej. Żałuję szczerze, iż pomimo moich wysiłków, z powodów ode mnie niezależnych, realizacja tego pilnego aktu ustawodawczego opóźnia się z uszczerbkiem dla poważnej gałęzi gospodarstwa narodowego, jaką w moich oczach stanowi łowiectwo.

*

Zamieszczając powyższe sprawozdanie, redakcja „Łowca Polskiego" łączy się z władzami naczelnemi Związku i całym polskim światem łowieckim w uczuciu wdzięczności i najwyższego uznania dla działalności łowieckiej Pana Prezesa Generała Sosnkowskiego, składając Mu tą drogą najserdeczniejsze powinszowania wraz z życzeniami długich lat tak wytrawnego sterowania organizacją łowiectwa polskiego oraz najpiękniejszych doznań i sukcesów myśliwskich w polskiej kniei.



AFRYKA

(Ciąg dalszy).

W pogodne, jasne noce, kiedy od srebrzystych promieni miesiąca świecą piaski, pustynia ma w sobie coś nieziemskiego, coś z baśni. Zimny mimo gorąca, martwy, milczący, błyszczący, jak z metalu, nocny krajobraz pustyni rodzi pojęcie innego świata, planety umarłej, zastygłej, na której, prócz duchów, nie mieszka nikt. I nie zadziwiłby się nocny wędrowiec, gdyby, wyrosłe z pod ziemi, albo spływając z przestworzy, pojawiły się przed nim białe postacie zaziemskich sfer.

Poczułem ulgę prawdziwą, kiedy zazieleniały przed nami drzewa Suezu; wracaliśmy na ziemię, między żyjących. Dokoła byli znów ludzie, siedziby, zwierzęta i roślinność.

Wypłynąwszy z kanału, weszliśmy w obszernej zatoce do przystani. Statek oznajmił się syreną i stanął. Jesteśmy w Suezie, na polu dwóch światów. Zwracamy więc reflektor i wizujemy papiery. W porcie stoi kilkanaście przeróżnych okrętów, las masztów. Obok żaglowej *dahabiji* arabskiej, czeka wielkie, pękate *cargo* japońskie. Przeważa flaga Wielkiej Brytanji.

Ledwie zatrzymano statek, pokład zaroił się od przekupniów. Wpuszczają ich ze względu na pasażerów, dla których handel taki jest rozrywką. Sprzedają pocztówki, tureckie papierosy, rzeźby z łupiny orzecha kokosowego i przedewszystkiem dużo świętości. Ziemia Święta o dwa kroki, z Suezu widać trzy szczyty Sinai. Jak nie kupić różańca albo szkaplerza, poświęconego w Betleem czy w Nazarecie? Kupiliśmy „róże jerychońskie", które jednak zawiodły zupełnie.

Na pokładzie zgiełk i hałas, jak na jarmarku. Podróżni śmieją się, słysząc bezczelne żądania przekupniów, drwiąc ofiarują 5 proc. żądanej ceny i — kupują. W handlu obrazy niema. Stewardzi upominają, żeby baczyć na kieszenie. Na improwizowanym tym rynku spaceruje, jak żóraw, dyżyrny oficer i przestrzega porządku, nie szczędząc trzciny, którą nosi jako oznakę swej władzy. Gości z Suezu załoga zna z poprzednich podróży i obchodzi się z nimi, jak z psami: kopią ich, boksują, zrzucają ze schodków. Tłomaczą nam, że wschodni ludzie „wymagają" takiego traktowania, bo inaczej są zbyt „*frech*".

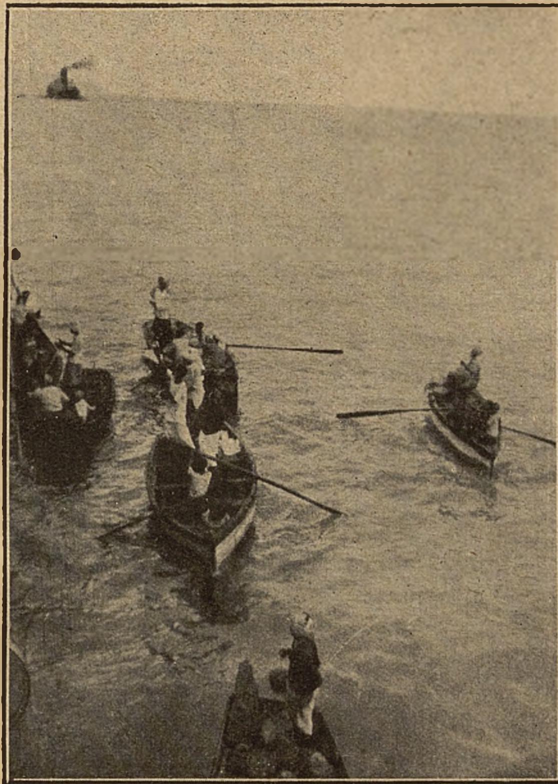
W oświetleniu tem, na tle niezrównanej panoramy zatoki i wybrzeży, wrzaskliwa, brudna hałastra jest jak psująca obraz plama.

Najśmielsze, najsubtelniejsze pióro i najbogatsza paleta nie byłyby w stanie oddać przepychu światła i gry barw, w jakich wieczoru tego gdzieś za Suezem, w Afryce zachodziło słońce.

Na niebie bez chmur, w przestworzach eteru, mieniły się zwiewnemi barwami tęczy, nieuchwytne jak tchnienie, blaski pereł i opali. W gładkiej tafli lazurowej toni zatoki przeglądały się, jak w niezmiernem zwierciadle, błyszczące w słońcu różnobarwnie: sinawe statki w przystani, żółte piaski i skały na przeciwległem, arabskiem wybrzeżu i, do rozstawionych zabawek podobne, tonące w ciemnej zieleni ogrodów, białe domy w mieście.

W miarę, jak coraz niżej obsuwało się słońce, zmieniały się barwy w krajobrazie. W przestworzu coraz mniej było śladów tęczy coraz więcej fioletu, szafirów i purpury. W lazurze zatoki, jak rzeka złota, odbijały się teraz poziome promienie zachodu. Kiedy ukrył się za horyzontem ostatni rąbek słońca, barwy zagasły, krajobraz pociemniał, na toni zaćmiło się złoto. Przez chwilę paliły się jeszcze na afrykańskim brzegu czerwono, jak pochodnie, wysokie urwiska, aż zgasły i one. Wieczór zapadał tu naglej, niż pod naszem niebem. W mieście, na wybrzeżu świecić się już zaczynała elektryczność. Ciemno już było zupełnie, kiedy w kolisku światła, rzucanego przez statek, pojawiła się łódź wracająca z portu. Odezwała się trąbka oznajmiająca obiad.

*



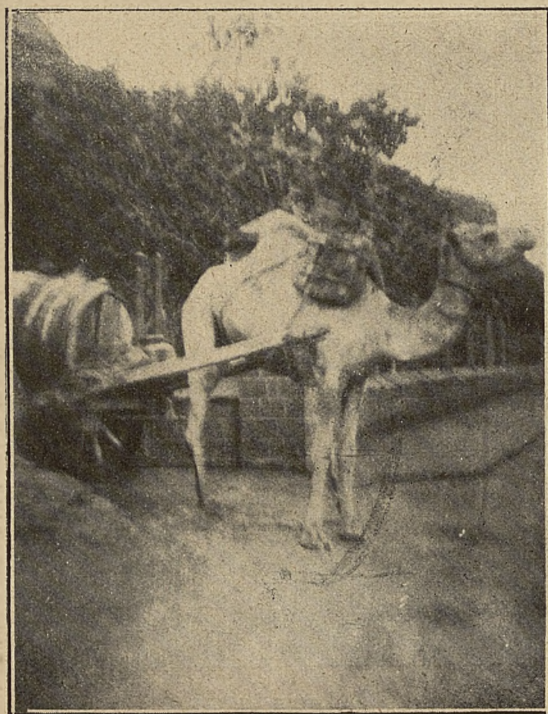
Z albumu Autora.

Kiedy wróciłem na pokład, dawno już utonęły w oddali brzegi Arabji i światło latarni morskiej w Suezie; statek był na pełnem morzu. Nad Azją, wielki od mirażu, stał nisko miesiąc i bladem światłem zalewał strome brzegi Egiptu, pod któremi, o pół kilometra ledwie, przechodził statek. Na tle nocnego nieba, w martwej poświacie księżyca, przesuwały się, jak fantastyczny biały korowód duchów, sterczące pojedyńczo, wysokie skały wybrzeża. W ciszy i spokoju grobowym, jakie tam były nad światem, wyobraźnia czy tajemnicze głosy z przestrzeni przypominały, że w przeciągu stuleci, które czas znaczył na wielkim zegarze dziejów, tam właśnie, pod tem niebem i na tych ziemiach, rozstrzygały się losy ludzkości. Tu rodziły się wielkie cywilizacje, tu głosili prawdy swe i objawienia: Mojżesz, Chrystus, Mahomet.

Cisza była tak zupełna, że słyszałem przelewanie się wody, prutej dziobem statku. W nocy minęliśmy miejsce, przez które przechodzili Żydzi, uciekając z Egiptu.

MORZE CZERWONE

Słońce wschodzące bez świtu i bez jutrzenki, ukazujące się nagle, jak ziejąca żarem złota kula, poranki bez chłodu, oślepiający blask morza i długie, męczące noce — tak zapisało się w mych wspomnieniach Morze Czerwone. Ląd Afryki, widok którego towarzyszył nam przez pierwsze dwa dni i wyspy, które mijał statek, leżały martwe, bez śladu zieloności, jak usypane z piasku i rumowisk, żółto-brunatne pogorzeliska. Większą część nocy woleliśmy spędzać na pokładzie, bo upał we wnętrzu statku, w kabinach, był nie do zniesienia. Na nocnem niebie nowe, nieznane nam pojawiły się gwiazdy: nad głowami migotał niebiesko Syrjusz, wprost przed statkiem, jak nocny drogowskaz, stał Kanopus, a pod nim, zapowiadając równik, wyłaniał się z morza Krzyż Południa. Północne nasze gwiazdy, Wóz i Mała Niedźwiedzica, stały nisko nad horyzontem i niezadługo utonąć miały zupełnie.



Z albumu Autora.

Na trzeci dzień po wyjściu z kanału, o wschodzie słońca, termometr wskazywał 35°, a w południe, w cieniu, 45°. Żelazne, czarno malowane części statku gorące były, jak nagrzane w kuźni. Woda, którą polewano rozpięte nad pokładem płócienne dachy i podłogi, ulatniała się w jednej chwili. Wszelki najlżejszy ruch powietrza gorący był, jak tchnienie rozpalonego pieca, a praca we wnętrzu statku zamieniała się w torturę. Dyżury palaczy skrócono do dwóch godzin, a mimo to, wychodząc z kotłowni, biedni Somalisi słaniali się i twarze mieli niebieskawo-szare, co bladość oznacza u czarnego. Chińczycy jedni, rzecz osobliwa, choć rodem ze stref umiarkowanych, trzymali się doskonale; prali i prasowali dzień cały bez wytchnienia, a nocami grali w karty. Pracujący pod pomostem i stewardzi poruszali się jak automaty, życie na pokładzie zamarło, ustały spacery i zabawy, bo ruch wszelki był wysiłkiem, po którym ciało oblewało się potem. Pasażerowie leżeli apatycznie na fotelach i ledwie znajdywali energję, żeby odwrócić stronicę książki, albo sięgnąć po szklankę z napojem. Anglicy nawet zaprzestali zajmować się gimnastyką i sportem. Ranna kąpiel ulgi nie przynosiła, bo woda była jak grzana. Do stołu podawano jak zwykle, choć jeść nie chciało się nikomu. Steward obsługujący piwnicę zato był w swoim żywiole i w ustawicznym ruchu. Widząc zmęczone, omdlałe twarze swych pasażerów, kapitan wzdychał na znak współczucia i bezradnie kiwał głową.

Czwartego ranka, kiedy wyszliśmy na pokład, ląd zniknął. Przez całe trzy dni, jak okiem sięgnąć, widzieliśmy morze tylko i rozpalone, blade niebo. Na szósty dzień dopiero, tym razem po lewej stronie, ukazały się, jak chmurka na widnokręgu, dalekie brzegi Arabji. Zbliżamy się do cieśniny Bab-el-Mandeb. Mamy przed sobą ostatni, najniebezpieczniejszy etap przez Adenem i najgorętszy dzień podróży. Przed statkiem coraz częściej wyłaniają się z morza, spalone słońcem, większe wysepki i skały. Skałom tym właśnie, których część tylko widoczna jest nad wodą, cieśnina zawdzięcza mówiącą dużo nazwę swą „Bramy łez". Rozbitych o skały, dużo statków spoczywa na jej dnie.

Roztropny Burgmestr zwolnił biegu; na pomostku komendanta, nie odrywając oczów od busoli, podwoił czujność dyżurny oficer. Po kilku godzinach ląd przybliżył się i skał widać było coraz wiecej. Skalistą grupę zwaną Wyspami dwunastu Apostołów mijaliśmy tak blisko, że przy pomocy szkieł widzieliśmy każdy szczegół rozpaczliwego tego pustkowia: nagie, rude skały, chaos rumowisk i błyszczące w słońcu płachty piasku. Na jednej z wysepek, na sterczącej wyżej skale, mały, biały budynek ze sztandarem — posterunek strażnicy albo cytadela. Pozatem ani śladu życia!

Na wysokości wysp tych widzimy po raz pierwszy mieszkanki wód egzotycznych par excellence, latające ryby. Na oceanie Indyjskim widzieć ich mieliśmy gromady całe. Dnia tego czekało nas inne jeszcze, nierównie rzadsze zjawisko. Pod wieczór, już niedaleko Adenu, niebo zachmurzyło się nagle i upadł d e s z c z; prawdziwy deszcz na Morzu Czerwonem, blisko Adenu! Kapitan, który odbywał podróż tę trzydzieści cztery razy, widział deszcz w okolicach Adenu drugi raz. Zdarzają się lata, w ciągu których nie upadnie jedna kropla. Deszcz zresztą był jak na żarty; przeleciał, ledwie zmoczywszy płótna nad pokładem, i nie ochłodził powietrza. Przeciwnie, wieczór, który zapadał, szczególnie był parny i gorący. Poprostu nie było czem oddychać. Statek nawet szedł, jak zmęczony, pół parą i poruszał się ledwie.

Dawno już minął obiad, noc była zupełna, kiedy ukazały się w oddali światła w Adenie. Kapitan jednak, widząc, że wybieramy się na ląd, oznajmił, że nie wejdziemy po portu aż o świcie i radził iść spać. Nie śpieszyło nam się do kabin gorących i dusznych, jak napalone łaźnie, więc pozostaliśmy na pokładzie, aż wydzwoniono północ... Zwłoka była mi nie na rękę, bo czekało mnie na lądzie parę spraw ważnych, które załatwić musiałem koniecznie. Wysłać należało depeszę, jakim płyniemy statkiem, i kilka listów. (Któż bo nie ma znajomych filatelistów!) L. zapewnia, że czasu będzie aż nadto, bo, oprócz poczty, sta-

tek zabrać ma z Adenu partję koni i wielbłądów, zakupionych w Somali dla kolonji niemieckiej.

Mimo otwartego luminatora i warczącego nad głową elektycznego wentylatora, usnąć długo nie mogłem, przewracając się, jak na torturze. Od gorąca pościel parzyła, w uszach tętniła krew. Najgorętsze nasze noce letnie, w porównaniu z tą, wydałyby się chłodnemi. Usnąłem wreszcie, zmęczenie wzięło górę. Obudziły mnie głosy dolatujące przez luminator. Wprost pod naszą kajutę rozmawiał ktoś z pokładu. Domyśliłem się, że na spotkanie naszych Somalisów z kotłowni wypłynęli znajomi z Adenu. Język obcy był, gardłowy. Po chwili rozmowa ucichła i słychać było wiosła odpływającej łodzi. Nasz statek stał, śruby nie pracowały. Wyjrzawszy, widziałem czarne, nocne morze, odpływającą łódź i dalekie jeszcze światła na wybrzeżu, nad którem stał księżyc. Nasłuchując, usnąłem znowu.

ADEN

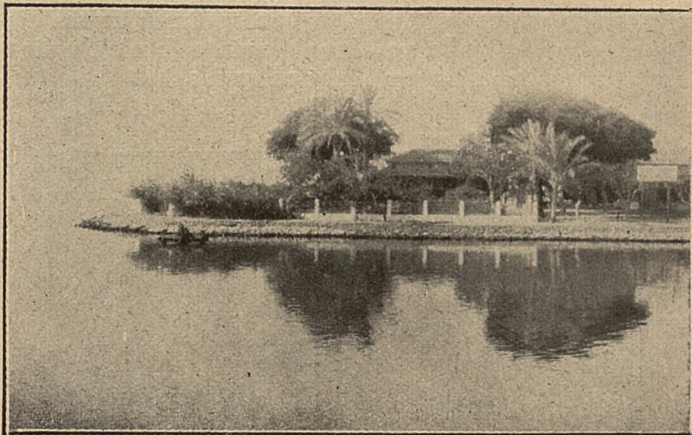
Obudziło mnie kołatanie do drzwi. — „List dla p Z.". Złe przeczucie ścisnęło mnie za serce. List do mnie w Adenie?! Kto szuka mnie aż tutaj, co to znaczy? Obawy, na szczęście, były zbyteczne. Wiadomości były raczej pomyślne. Nasz impressario witał nas uprzejmie w Afryce i donosił, że oczekiwać będzie w Mombasie, aby ułatwić lądowanie

Uderzyło mnie, że światło zaglądające do kajuty dziwnie było mdłe i ponure. Ani śladu słońca, które budziło nas co rano. Przez luminator zobaczyłem ze zdziwieniem, że na morzu leży gęsta, jak wata, biała mgła. Wczoraj deszcz, dzisiaj mgła — zmieniło się coś w Adenie. Odziałem się pośpiesznie i, ledwie przełknąwszy śniadanie, wyszedłem na pokład. Zaścielając przystań, dymiły ciężkie, pełzające opary i gęstemi kłębami przewalały się przez statek. Z jednej tylko strony sterczały nad mgłą wysokie, zębate szczyty skał. Ukazując się i niknąc w mlecznym oparze, latały jak mewy i skrzeczały przeraźliwie wielkie, czarne kanie. W powietrzu, dziwnie przenikliwa, unosiła się obca woń, nieznana w naszych portach.

Upewniwszy się, że statek nie odejdzie przed dziesiątą, spokojny byłem, że sprawy nasze załatwić zdążę osobiście, miałem trzy godziny przeszło. Wybrałem przewoźnika, który zalecał swą łódź po francusku niby, wołając: „musje, musje!" Dość naiwnie wyobrażałem sobie, że bez zachodu znalazłem przewodnika i tłomacza. Czekało mnie jednak jedno więcej w życiu rozczarowanie, bo mój chybiony dragoman, poza tytułem „musje", rozumiał i mówił tylko po swojemu. Skazany na milczenie, tem usilniej przyglądałem się moim wioślarzom, których było w łodzi trzech.

Dzięki niewątpliwej, znacznej domieszce krwi arabskiej, Somalis jest okazem rasy czarnej nierównie więcej udanym, niż inne szczepy murzyńskie zamieszkujące Afrykę. Zbudowany bez zarzutu, postawny, suchą, szlachetnie osadzoną głowę nosi dumnie, kończyny ma rasowe, kształtne. Z rasą Chama jednak dzieli barwę skóry. mięsiste wargi i wełniste, kędzierzawe włosy na głowie. Twarz zdobią mu za to: przepyszne zęby, rzeźbiony doskonale nos i pełne życia, wyraziste oczy. Gdyby nie odrażający zwyczaj smarowania włosów nawozem krowim i wapnem, co barwę im daje rudo-czerwoną, a postaci całej wyraz uderzającej dzikości, całość uchodzić mogłaby, egzotycznie biorąc, za prawdziwie piękną. Świadczą o tem zresztą najdalej posuwane dowody admiracji, jakich nie szczędziły młodym Somalisom, pokazywanym w Europie, damy wielkich miast.

Podróżnicy i myśliwi, którzy do czynienia mieli z Somalisami, zapewniają, że obok wrodzonej czarnym skłonności do kłamstwa i do lenistwa, charakter ich niepozbawiony jest cech wysoce dodatnich, jak wierność danemu słowu i odwaga. Gdzie przeciętny murzyn ucieknie dziesięć razy, Somalis dotrzyma placu, chociażby męstwo swe opłacić miał życiem. Tak przedstawia w swych „Notatkach z Afryki", przewodnika i głównego shikar'ego wyprawy, mężnego Alikhar'a, Józef hr. Potocki.



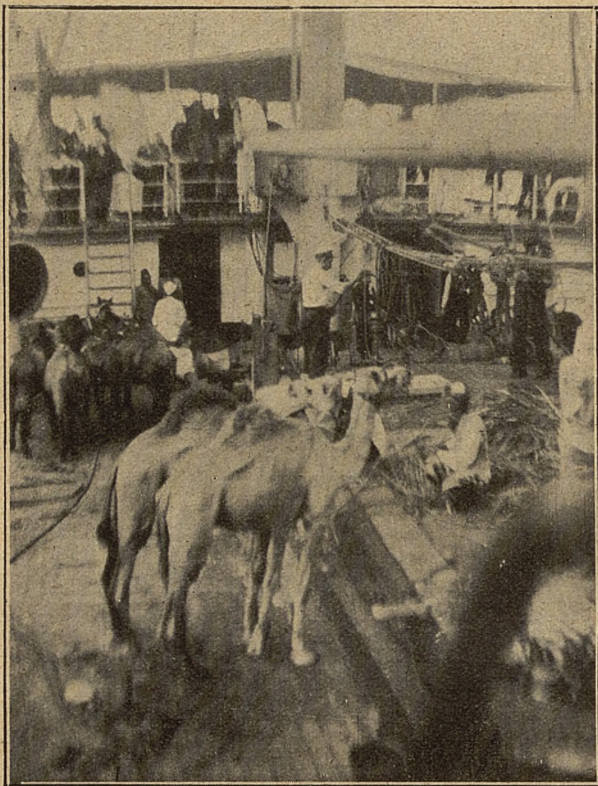
Z albumu Autora.

Wybierając się do Afryki na grubego zwierza, biali sporstmani zabierają chętnie Somalisów, jako shikar'ich, t. j. strzelców podręcznych. Ofiarujących swe usługi czarnych zawodowców nie brakło w Adenie. Zetknąłem się w ten sposób ze starym Mehmed-Alim, uczestnikiem słynnych wypraw myśliwskich Zichy'ego i Coudenhove'a. Pokazywał mi ich świadectwa, które, jako jeden z amuletów, zatłuszczone i ledwie czytelne, nosi na piersiach w skórzanym szkaplerzu. Amulet skutecznym być nie mógł, bo ludzie dla nas byli już zamówieni. Kiszmet!

Na migi, pokazując list, odszukałem pocztę bez trudności. Miasto całe, to parę placów i wielki bulwar wzdłuż brzegu morza. Nie jest to jednak właściwy Aden somalijsko-arabski, leżący trzy kilometry w głąb lądu, a jego port Steamer-Point, gdzie stoi eskadra, gdzie urzędują władze i gdzie skupia się wszystko, co styczność ma z cywilizacją. Na poczcie załatwia mnie Hindus „babou" *), grzeczny bardzo i mówiący po angielsku. Listów mam parę, kilkanaście kart (te marki z Adenu!) i przedewszystkiem depeszę, która wyprzedzi nas o sześć dni. Płacąc dowiaduję się, że obieg mają tu tylko indyjskie rupje i „ana", a nie funty. Trudność ta jednak usunąć się dała łatwo dzięki „zapomnianemu" przeze mnie we właściwy sposób angielskiemu szylingowi. Jak wszędzie, gdzie istnieją ludzie i szylingi. Babou objaśnił mniej uprzejmie, gdzie znajdę fotografa, który był mi potrzebny.

*) Ironiczna nazwa Hindusów na niższych urzędach angielskich.

Na ulicy otoczyło mnie kilkanaście nagich, połyskujących zębami, małpiątek, wyciągających czarne rączki: bakczisz sir, bakczisz! Wyrosły, jak z pod ziemi, przewodnik Arab, ciągnie mnie za rękaw i namawia, żeby wybrać się do Adenu i zobaczyć słynne cysterny, datujące jakoby od królowej Saby, zaopatrujące miasto i port w wodę do picia. Klnie się, że za godzinę będziemy z powrotem. Wiem, co oznacza godzina w tych warunkach i jestem niewzruszony. Z bulwaru widzę, że Burgmestr dymi i jest pod parą. Niewiadomo co strzelić im może do głowy. Kapitan wspominał, że wyruszyć zamierza, jak tylko skończą ładować, bo chce za dnia, nazajutrz, minąć przylądek Guardafui, który złą ma opinję u marynarzy. Gra nie warto świecy — ładniebym wyglądał! L. nie przebaczyłby mi do śmierci. Tyle zresztą nowego, tyle ciekawego widzę już tutaj! Gdzie spojrzeć, rzuca się w oczy walka, jaką w obronie swego istnienia staczać tu musi ze słońcem biały człowiek.



Z albumu Autora.

W szczerej pustyni, pod prostopadłem słońcem, odbijającem się w zwierciadle zatoki, u podnóża czarnych skał, za któremi, jak za parawanem, leży Aden, bez słodkiej wody i bez śladu roślinności. Żelazna energja Anglików stworzyła potężną twierdzę morską, nazywaną przez nich samych *hell on earth* — piekłem na ziemi. Deszcz nie pada tu latami całemi, wiatry nie wieją, bo zawadza im łańcuch wysokich, ziejącym żarem, skalistych wzgórz. Załogi statków i garnizon zmieniać trzeba często, bo ludzie biali zapadają na anemję i przenoszeni być muszą pod inne niebo.

Na bulwarze, frontem do morza, rzędem pod sznur, jak na przeglądzie, budowle publiczne i domy w stylu hinduskim i arabskim, budowane okazale, zdobne w rzeźbione suto, kamienne oddrzwia i wykusze. Biało malowane, grube mury, wąskie, małe okna zasłonięte żaluzjami i sklepione arkady nad chodnikami świadczą wymownie, że słońce jest tu wrogiem, od którego uciekać, przed którym kryć się trzeba. Mimo wczesnej godziny — dochodzi ósma — gorąco już jest bardzo. Po twarzy od czasu do czasu przechodzą gorące tchnienia. To prąd powietrza z nad zatoki spotyka się z gorącem, którem promieniują rozpalone czarne skały, i tworzy wiry.

Na ulicy ludzi mało, Somalisi tylko i Arabowie; białego spotykam jednego tylko. Przemknął się przez ulicę i znikł we wnętrzu domu. W półmroku zasłoniętych sklepów widać ubranych biało, brodatych Hindusów, siedzących na ziemi. Przed kawiarniami, na brudnych werandach, siedzą po turecku niemniej brudni goście w turbanach i z blaszanych czarek piją kawę. Nie mam odwagi spróbować. Na placu stoi wyprostowany brunatny policjant w fezie, a paru Somalisów pędzi stado owiec białych z czarnemi głowami. Sznur wielbłądów zaprzężonych w pojedynkę ciągnie barki z wody. Przed bazarem, na bulwarze, kona powoli kilkanaście palm i figowców, posadzonych w wielkich naczyniach z kamienia. Nawet wytrwałość Anglików utrzymać ich przy życiu nie jest w stanie. Jak wszystko dokoła, zabija je słońce.

Jeden z czarnych malców, którzy włóczą się za mną gromadą, żebrze, dla odmiany po francusku: „musje, musje, done su". Jak nie dać takiemu Paryżaninowi! Pieniądz, który dostał, chowa do ust. Nie skrzywdzi go rzezimieszek.

W bazarach towary miejscowe ciekawe: białe arabskie opończe z płótna, barwne tkaniny na turbany, nabijane mosiądzem rzędy końskie, pióra i jaja strusie, skóry z lamparta, rogi antylop, plecione, jaskrawe koszyki roboty Somalisów i t. p. Niestety, już po wyjściu od fotografa, zaciął mi się aparat. A takie ciekawe tematy!

Pół do dziesiątej, w przystani odzywa się syrena Burgmestra; pierwszy sygnał. Kiedy łódź odbija od brzegu, na morzu niema już śladu mgły. O pół kilometra, otoczony czółnami krajowców, dymi już mocno statek. Teraz dopiero, z morza, kiedy łódź odsunęła się od brzegu, obejrzeć mogę panoramę.

Jeżeli jest na kuli ziemskiej miejsce zasługujące na nazwę „orlego gniazda", to miejscem ten jest Aden. Na azjatyckiej stronie, nad sznurem białych budynków Steamer-Point'u, sterczą półkolem wysoko czarne, bazaltowe skały. Na przeciwległym, afrykańskim brzegu zatoki, na horyzoncie, majaczą w oddali niskie, piaszczyste wybrzeża Somali.

Pozornie skaliste wzgórza nad portem, prócz kilku białych budowli, semaforów i masztów sygnałowych, godnego uwagi nie przedstawiają nic. Przez dobre szkła jednak cały ten ponury amfiteatr, otaczający zatokę od północy, przedstawia się jako rozbudowany potężnie system obronny. Gdzie spojrzeć, podmurowania, galerje, bastjony, czarno ziejące wnęki strzelnic i jeszcze strzelnice, jeszcze podmurowania. Nie potrzeba być artylerzystą, żeby zrozumieć, że skały te i te strzelnice twierdzą są morską nie do zdobycia, tem silniejszą, że w porcie, pod osłoną dział lądowych, stoi eskadra cała: dwa krążowniki, kilka torpedowców i awizo. W przejrzystem powietrzu wi-

dać szczegóły, jak na dłoni. Myśl nie przekradnie się przez cieśninę wbrew woli Adenu. Narówni z Gibraltarem, to jedna z „bram świata" od których klucze trzyma w kieszeni Wielka Brytanja. Tak jest dzisiaj — czy będzie tak długo jeszcze? Czy nie odezwie się potężnym głosem hasło Monroe'go „Azja dla Azjatów". Na wodach Cuszimy i pod Mukdenem rozegrany został pierwszy akt współczesnej tragedji dwóch najliczniejszych ras naszej planety, a kurtyna, która po nim zapadła, przesłoniła prestige rasy białej bodaj na zawsze.

Na statku obcych pełno — białych z Adenu i przekupni. Na pokładzie istny bazar, przejść nie można. Te same towary co na lądzie: tkaniny, pióra, koszyki. Sprzedają i tutaj przeważnie Żydzi. W niezrównanem, ostrem świetle poranka, obraz jaskrawszy jeszcze i więcej egzotyczny, niż w Egipcie. Paleta najśmielszego impresjonisty byłaby zbyt ubogą. A ponad obrazem, potęgując wrażenie, unosi się w powietrzu woń obca, nieokreślona, jakgdyby korzenna, ostra i niepokojąca zmysł białego. Niby Wschód, niby Islam, ale Wschód inny jakiś, tonący w odmętach Czarnego Świata. Ceny podają więcej jeszcze naiwne, niż w Suezie. Za dwa okazałe pióra strusie, cenione na początek dziesięć funtów, płacą trzydzieści szylingów, za dużą skórę pantery — dwanaście szylingów, zamiast pięćdziesięciu. Najtaniej płacą ostatni kupujący. Kiedy rozległ się drugi sygnał i kiedy z pokładu usuwać zaczęto sprzedających, wystąpił w jednej chwili piorunujący spadek cen: 40 — 50 — 70 — 80%. Statek, nawiasem mówiąc, opróżniano brutalniej jeszcze, jeżeli to możliwe, niż w Suezie. Widząc, że nie przelewki, że to naprawdę ostatnia chwila, przekupnie ceny podają prawie rozsądne. Kto nie dobił targu na pokładzie, kończy tranzakcje przy pomocy koszyka spuszczanego na sznurku. Między łodziami przekupniów uwijają się małe, jak łupiny orzecha, czółenka wrzeszczących na całe gardło, wymachujących rękami chłopców z wybrzeża, którzy przypłynęli popatrzyć na „Franków" i użebrać co się da. Dawniej zwykłą zabawą podróżnych było wrzucanie do morza monet, które malcy wyławiali nurkując, zanim dosięgnęły dna. Sport ten jednak wzbroniony został surowo z powodu rekinów, ciągnących za statkami i pospolitych w przystani, gdzie polują na odpadki z kuchni i na ludzi. Anglik, z którym zaznajomiłem się na statku, a który podróż tę odbywa dwa razy do roku, opowiada, że scenę taką widział w Adenie na własne oczy. Małego nurka wydobyto wprawdzie żywym, lecz z obciętą , jak nożycami, nogą.

Trzeci sygnał; jak koń ukłuty ostrogą, statek z miejsca prawie ruszył całą parą.

Na statku zmiany; przy drugiem śniadaniu nowe twarze. Sporo osób czekać będzie w Adenie na statki do Indji i na Daleki Wschód; na ich miejsce wsiedli podróżni do portów Afryki Wschodniej i Południowej. Na przednim pokładzie, przywiązane do barjer, stoją wielbłądy i koniki somalijskie, o których wspominał kapitan. Dozorują je krajowcy w białych burnusach, obwieszeni amuletami, noszonemi jak naszyjnik. Na przednim pomoście mamy zaszczyt poznać „bibi" — żonę czarnego służącego kapitana, która nie znosi naszych chłodów i spędza zimę w Adenie, kiedy mąż odbywa podróż do Hamburga, skąd Burgmestr jest rodem. Bibi uchodzi za czarną piękność i lubi się stroić. Świadczą o tem zawrotne, codzień jaskrawsze, jedwabne chusty na głowie, nieskończona ilość pierścionków i bogate naszyjniki. Bibi upodobania ma wielkiej damy: przez cały Boży dzień nie robi nic i, o ile nie je, nie wypuszcza z ust papierosa. Przez całe sześć dni podróży do Mombasy nie widziałem jej inaczej, jak siedzącą na podwiniętych nogach pod masztem i ćmiącą papierosy, któremi pozwala się częstować. Nieruchoma, jak posąg Buddy, patrzy bezmyślnie na otoczenie i robi wrażenie spokojnego, tresowanego zwierzątka.



Z albumu Autora.

W jadalnym, przy wspólnym posiłku, chwila zamieszania; starszy steward, jako mistrz ceremonji, wskazuje miejsca nowym pasażerom. Inni, dawniejsi, stosownie do życzenia, zmieniają stoły. Nasi Wszechniemcy, uznawszy widocznie, że nasza szóstka już jest „uświadomiona", opuścili nas. Miejsca ich zajęła starsza już, wykwintna dama, Angielka, podróżująca z damą do towarzystwa. Zajęła miejsce Wszechniemki — przy stole inna atmosfera. Angielska pani odwiedza synów, służących w marynarce. Była u starszego na Dalekim Wschodzie, a teraz jednym tchem jedzie z Szanghaju do Południowej Afryki, do Kapstadu, gdzie stoi z eskadrą młodszy. Już trzy miesiące jest w podróży, a za trzy następne wraca do domu, do Anglji. Mówi o swej poróży, jakgdyby chodziło o przejście przez ulicę.

Daleko za nami, toną już w morzu biały Steamer Point i skały Adenu.

STANISŁAW ZABOROWSKI

(D. c. n.)

SETNY GŁUSZEC

Polowanie na głuszca na tokach zaliczam do najpiękniejszych polowań i stawiam je zawsze na pierwszem miejscu pośród wszystkich innych łowów. Tylko niewielu obecnie polujących jest w stanie to zrozumieć, odczuć czar i piękno tych polowań, dlatego też nie zdziwiło mnie bardzo, kiedy niedawno jeden z licznej masy polujących porównał to wiosenne polowanie do jesiennych polowań na pardwy z wyżłem. Powiedziałem mu krótko, iż widocznie ma bardzo słabe pojęcie o polowaniu na tokach. Czekam na nie przez rok z niecierpliwością i utęsknieniem, a kiedy już przyjdzie, zaszywam się w lasach i oddaję się mu z całą pasją, bez żadnych zastrzeżeń.



Już go widzę...

Wspomnienia tych cudnych chwil z każdej wiosny przechowuję w moim ogólnym skarbcu wspomnień, żyję niemi później przez cały rok, aż do następnej znowu wiosny. Dlatego też wiosna jest dla mnie najważniejszą porą roku i, jeżeli jest kapryśna, psuje mi dużo krwi i zdrowia.

A i w tym ubiegłym roku właśnie nie była zbyt pomyślna dla toków. Dwie trzecie kwietnia upłynęło, a ładne ranki i wieczory można było policzyć na palcach jednej ręki, przeważnie były silne przymrozki rano, częste szarugi śnieżne w ciągu dnia oraz wiatry. Jednak czas upływa, a głuszce nie czekają na lepszą pogodę, lecz grają, tylko w zależności od aury: jednego ranka dobrze, drugiego znowu gorzej.

Już w pierwszej dekadzie kwietnia spędziłem 10 dni w kniei i w warunkach bardzo niepomyślnych, często wracając z tokowiska pokryty mokrym śniegiem, strzeliłem dwa piękne koguty. Zaraz po Wielkiej Nocy byłem już znowu na innych terenach, gdzie wypracowałem trzeciego głuszca, a wreszcie udałem się do znanego mi od lat kilku łowiska, gdzie także już niejedną pieśń słyszałem.

Tak los pokierował, że właśnie na tem tokowisku miała być rozegrana niezwykle wysoka stawka dla mnie, pamiętna do końca życia, o którą niewielu wyznawców św. Huberta mogło się ubiegać.

Po krótkim odpoczynku, po obiedzie i przebraniu się do lasu, wyszedłem ze strażnikiem na tokowisko. Droga była niedaleka, gdyż do miejsca zwykle szło się najwyżej dwadzieścia minut. Po dojściu do traktu rozeszliśmy się, każdy na inne tokowisko, odległe od siebie w prostej linji, jakieś 1,5 km. Mając jeszcze sporo czasu, szedłem wolno dróżką leśną, rozmyślając co mnie czeka dzisiejszego wieczora.

Wkrótce już doszedłem do celu; miejsca znajome, dobrze znane, nic się nie zmieniło od roku. Gdy na chwilę przystanąłem, rozkoszując się ładnym widokiem, fala wspomnień nawiedziła mnie niespodzianie, coprawda może to i nic dziwnego, gdyż na tem tokowisku strzeliłem już prawie tuzin kogutów i tyle pięknych poczułem chwil, niezapomnianych!

Wtem z wielkim łopotem zerwał się z sosny głuszec, widziałem go nawet w locie na chwilę — i pociągnął na wschód. A więc jakby pierwsze miłe powitanie z tutejszymi mieszkańcami i władcami. Poszedłem sprawdzić miejsce, na której sośnie kogut mógł siedzieć, i stwierdziłem, iż przerwałem mu widocznie wieczorny posiłek. W pobliżu, pod inną sosną, znalazłem świeże ślady noclegu, a widocznie w ciągu niejednej nocy.

Wracam z powrotem na miejsce, gdzie przed chwilą się zatrzymałem i zastanawiam się, czy nie lepiej tutaj gdzieś pozostać, lecz przypominam sobie o starem miejscu podsłuchów; chcę go koniecznie dzisiaj ujrzeć, dlatego też ruszam dalej. Po przejściu może jakichś 250 kroków znowu słyszę silny łopot skrzydeł — zrywa się drugi głuszec. Stanąłem, jak wryty i nawet mocno speszony. Tego tutaj jeszcze nigdy nie miałem, żeby mi koguty nie dawały podejść spokojnie na miejsce podsłuchów. Cóż to, czy przewidziały moje przybycie dzisiaj, że wystawiły taką czołową wartę?! Tego drugiego nawet nie widziałem w jakim kierunku odleciał, gdyż las był znacznie gęstszy. Pomimo wszystko, nie byłem zbyt zadowolony z tego podwójnego spotkania, gdyż byłem pewny, iż te dwa koguty już dzisiejszego wieczoru tutaj nie zapadną.

Nareszcie jestem prawie na miejscu, widzę pagórek z jałowcem rozłożystym i wszystko inne jak dawniej, tylko sam jałowiec rozrósł się jeszcze bujniej. Rozkładam krzesełko pod przykryciem jałowca, siadam i sprawdzam czas; jest jeszcze jakieś pół godziny do zapadów. Cisza straszna — gdzie zdaleka odezwał się kozioł. Wieczór po deszczu mglisty. Obok tego „mojego" miejsca zwykle głuszce zapadały z trzech stron — od północy, wschodu i południa; ja siedzę frontem do wschodu. Tyle różnych myśli przychodzi do głowy, a wśród nich jedna, najważniejsza— ile głuszców zasadzę tego wieczoru? Zbliża się powoli

czas oczekiwany; z powodu tej ciszy, aż w uszach dzwoni.

Po pewnej chwili słyszę zryw z ziemi i silny łopot skrzydeł siadającego na gałęzi koguta, z równoczesnem podwójnem krektaniem. To stary znajomy, stale zapadał nawprost odemnie w tem miejscu. Zawsze jest już jeden kandydat na nocne gody — weselej zrobiło się w duszy! Mija dalsze piętnaście minut, ciągle trwa długa cisza, tylko słychać gdzieś dalekie ujadanie psów we wsi. I oto znowu w lewo od siebie słyszę jak zapadł drugi głuszec, zakrektał.— za chwilę zmienił miejsce. Odpowiedzi na to nie otrzymał żadnej, widocznie tamten pierwszy jest „stopniem niższy", więc musi milczeć. Z tym drugim już też się znamy z zeszłej wiosny — bojowy, stary gracz. Jeszcze jeden daleki zapad, niezupełnie wyraźny od strony „góry" i cisza zupełna. Tak jak jest obecnie, jestem zadowolony — dwa dobrze osadzone koguty, trzeci daleki.

Szybko robi się ciemno i zaczyna znowu padać deszcz. Przeczekałem jeszcze na wszelki wypadek i „na zapas" piętnaście minut, poczem cichutko i powoli zacząłem wycofywać się z tokowiska, mając na względzie tego drugiego koguta, dosyć blisko osadzonego. Kiedy już doszedłem do dróżki i zrębu, posuwałem się normalnie, bez zachowania ostrożności. Deszcz padał coraz silniejszy, a kiedy dochodziłem do domu, lał już, jak z wiadra.

Strażnika zastałem w domu, wrócił trochę wcześniej, osadził jednego pewnego koguta, a drugiego dalekiego. Ze względu na powagę chwili, która mnie czekała jutro, postanowiłem wracając z podsłuchów do domu, tego wieczoru nic nikomu nie opowiadać: co, ile i gdzie widziałem lub słyszałem. Na wszystkie pytania miałem jedną odpowiedź: nie mogę powiedzieć nic dzisiaj. Widziałem, że zdziwienie z tego powodu było wielkie, jak również zaciekawienie, gdyż dawniej zawsze plany na ranek robiliśmy głośno zwieczora, zaraz po kolacji. Tym razem jednak było inaczej.

Jeszcze przed pójściem na spoczynek i przygotowując wszystko już u siebie do nocnego marszu, stale wracałem myślą do osadzonych kogutów i w duszy prosiłem św. Huberta o dobrą pogodę na jutrzejszy ranek. Kilkugodzinny sen nie trwał długo, już o godzinie 1.30 „niemiłosierny" budzik nie dał spać, trzeba było wstawać.

Pierwsza myśl — jaka może być pogoda? Wyszedłem na ganek — noc ciemna, pochmurna i cicha. Odniosłem wrażenie, jakby wisiał deszcz. Może być niedobrze, ale trudno, bywało i znacznie gorzej. Nieraz nie mając żadnego osadzonego koguta z wieczora, w noc z wichurą szedłem na tokowisko i wracałem jednak z głuszcem. A obecnie wszak mam prawidłowo osadzone koguty, a jak tam będzie dalej — sprawa otwarta... Idę zbudzić strażnika, który spał w kuchni; wstawał już i szykował się do drogi, wkrótce potem światłem latarni za oknem dał znać, że już czeka na mnie.

Prawie przed samą godziną drugą wyszliśmy z domu. Obecnie już trzeba było zdecydować się na które tokowisko idziemy? Żeby długo nie naradzać się, narzuciłem swój plan: każdy z nas pójdzie oddzielnie tam, gdzie był wieczorem na podsłuchach, przyczem strażnikowi poleciłem sprawdzić, czy osadzone przez niego koguty będą grały tego ranka. Kiedy już będzie zupełny dzień, spotkamy się przy dróżce, na kłodzie zwalonej sosny. Czułem, że strażnik chce o coś zapytać mnie, więc go uprzedziłem, zaznaczając, że dzisiaj wyjątkowo chcę być sam, a o wszystkiem, co mu może nie jest jasne i zrozumiałe, dowie się później, przy spotkaniu w dzień. Jakiś czas jeszcze szliśmy razem, potem każdy już poszedł swoją drogą.

Latarnię pozwoliłem zabrać strażnikowi i chociaż miałem przy sobie kieszonkową latarkę, nie chciałem świecić, gdyż i tak już krótko mógłbym z niej korzystać. Żeby lepiej i prędzej przyzwyczaić oczy do ciemności, kilka minut stałem w miejscu, potem wolno poszedłem dalej. Było bardzo ciemno, całe szczęście, że drogą znałem świetnie, więc starałem się przez cały czas trzymać się małej dróżki, która prowadziła prawie do samego tokowiska. Już doszedłem do końca — jest zrąb, teraz już muszę posuwać się bardzo wolno bez drogi, gdyż osadzony drugi głuszec może być niedaleko.



Tak jak padł...

Na chwilę przystanąłem i obmyślam ostatecznie plan na dzisiejszy ranek: decyduję się zapolować na tego drugiego z osadzonych przez siebie kogutów. Dlatego już nie pójdę do miejsca wczorajszych podsłuchów, lecz zatrzymam się tutaj bliżej i będę czekał na pieśń. Muszę jeszcze jednak przesunąć się naprzód w kierunku głuszca, żeby być od niego jaknajbliżej, co skróci znacznie podchodzenie w czasie pieśni, w razie późnego rozpoczęcia jej, lub słabej gry. Ruszam więc znowu powoli, teraz jest znacznie gorzej, tak ciemno, że idę prawie poomacku, stawiam stopy ruchem posuwistym, jakby na ślizgawce. Przystaję często i słucham, czuję jakby daleki powiew wiatru. O, to

może być całkiem źle, wszystko — byle nie wiatr teraz!

Nareszcie dochodzą do miejsca, z którego mam zamiar czekać na pieśń. Staram się zorjentować w terenie, zdaje mi się, że koguta mam od siebie na północny-wschód. Zgrzałem się po tym ostatnim kawałku drogi, rozstawiam więc krzesełko, żeby chwilę spocząć.

Ale co to, czy mnie słuch nie myli? Jakby pieśń? No, to chyba w mojej wyobraźni tylko?! Stoję pochylony w tym kierunku i w natężeniu słucham. Tak, rzeczywiście już gra! Wzruszenie straszne, robi mi się znowu gorąco. Staram się dojrzeć godzinę: dochodzi zaledwie 2.30. Jest tak wcześnie — kompletna noc i do tego pochmurna. Powstaje wiatr, chwilami słabo słychać, później znowu chwila ciszy, wtedy pieśń całą słyszę dobrze. Niema już czasu do stracenia, trzeba ruszać! Poprawiam na sobie pas, sprawdzam broń, biorę do ręki swoją „buławę" — długi kij, żeby było lżej, stołeczek pozostawiam tutaj na miejscu.



Autor przy setnym głuszcu.

Robię pierwsze kroki pod pieśń. Kogut gra jak dotychczas dobrze, długiemi serjami. Teren jednak zdradliwy, wolałbym już odrazu bagno; po drodze różne złomy, suche gałęzie, których jeszcze ominąć nie można z powodu ciemności. Dochodzę do grzbietu góry, wiatr znowu zagłusza pieśń, muszę chwilami zatrzymywać się i czekać. Teraz zaczynam spuszczać się z góry, spadam jakby w dół i końca tego zejścia niema. Wkońcu dostaję się na bagno, lepiej jest, niema już tych suchych gałęzi.

Przerwa w pieśni — zatrzymuję się i słucham. Chcę trochę zorjentować się, gdzie obecnie jestem, ale jest to trudniejsze, wszystko wygląda jakieś dzikie; nieznane. Znowu pieśń — ruszam, po pewnym czasie kończy się bagno, mam pod nogami twardy grunt. Przecinam jakby małą dróżkę — poznaję teraz miejsce, gdzie obecnie jestem. Mam wrażenie, że kogut gra tuż za tą dróżką. Przystaję i przepuszczam jedną serję pieśni, dochodzę do wniosku, że głuszec powinien już być na strzał. Robię jeszcze kilka kroków w pieśń i przytulam się do grubej sosny. Chcę teraz sprawdzić godzinę, z trudem ledwie widzę: niema jeszcze godziny trzeciej. Zmieniam jeszcze raz miejsce, staję ukryty między dwoma dużemi sosnami i zaczynam teraz wypatrywać.

Kogut raptem zaczyna robić dłuższe przerwy, klapie pewien czas, potem cisza krótka, znowu klapanie i cisza. Rozwidnia się bardzo powoli, ranek zapowiada się pochmurny, jednak z wiatrem. Znowu dłuższa serja, tempo coraz szybsze, kogut jakby delektuje się sam swoją pieśnią! Po dłuższem wypatrywaniu, a właściwie po walce oczu z ustępującym powoli mrokiem, widzę jakby sylwetkę głuszca, ale zupełnie pewny jeszcze nie jestem. Nie mogę jeszcze zauważyć jego ruchów, jeżeli to ma być on, ten tajemniczy śpiewak nocy. Zamykam i spuszczam w dół oczy, potem je otwieram i patrzę w górę. Tak, rzeczywiście musi to być głuszec, tylko z powodu pochmurnego świtu wygląda teraz jakiś mały. Zalecam sobie trochę cierpliwości i spokoju, gdyż nerwy dają znać o sobie! Po przerwie znowu wypatruję. Tak, teraz już naprawdę wiem, że to mój śpiewak. Tylko krótkie, przerwy robi i tak pieśń płynie za pieśnią, że klapania prawie nie słychać. Odwrócony jest do mnie piersią— już widzę ruchy wachlarza. Siedzi na wysokiej, masztowej sośnie, bliżej wierzchołka, na grubej gałęzi.

Podnoszę broń i przesuwam lufami po niebie — widzę wtedy zarys muszki, lecz kiedy skieruję lufy na głuszca, muszka ginie. Powtarzam to parę razy, ale z takim samym skutkiem Ot, ranek ładny, nigdzie jaśniejszego kawałka nieba! Decyduję się zrobić kilka kroków w bok — lepsze będę miał światło — staję wśród kilku młodych sosenek, podnoszę broń — trochę drga ze wzruszenia. W tej chwili kogut odwraca się do mnie bokiem — najwyższy czas — niech się dzieje wola św. Huberta. Strzał!

Jakby piorunem rażony, ptak spada i ani drgnął na ziemi. Jest godz. 3.15. Co się ze mną dzieje w tej chwili, nie wiem, świat cały się kręci, stoję wpatrzony w głuszca i tylko szeptem powtarzam sobie kilka razy: — Setny głuszec... Setny głuszec...

Jest to wielkie szczęście, największe w życiu myśliwego! Co za łaska św. Huberta była moim udziałem!

Powoli trochę przychodzę do siebie zapalając fajkę, podchodzę do głuszca — leży nieruchomy na kobiercu z mchów. Jakże cudnie grał swoją ostatnią pieśń miłości!

Po zrobieniu naprędce kilku pamiątkowych zdjęć, ruszam na spotkanie ze strażnikiem. Nie dochodząc do miejsca, widzę go już idącego naprzeciw i podrzucającego czapkę do góry. To widocznie owacje na moją cześć?! Później już winszuje szczęśliwego ranka i nadmienia, iż słyszał mój strzał, lecz zdziwił się, że tak wcześnie, więc trochę wątpił, czy był skuteczny.

Wypijamy „pogrzebowe" tradycyjną głuszcówką, znaną już dobrze wielu leśnym ludziom. Teraz dopiero opowiadam wszystko od początku i szczegółowo. Kiedy strażnik dowiaduje się, iż jest to mój setny

głuszec, staje na baczność, życząc mi doczekać drugiej setki. Ale śmiejąc się, odpowiadam mu, że co za dużo to niezdrowo. Sprawdzamy wagę głuszca, tak od ręki tymczasem; mój przyjaciel twierdzi, iż będzie miał dobrych 5 kg., mnie się zdaje, że będzie koło tego, ale niezupełnie. W rzeczywistości głuszec, zważony zaraz po powrocie do domu, miał 4,7 kg; ładny, stary kogut.

W podniosłym nastroju wracamy do domu, tam też wkrótce dowiadują się o tem niezwykłem dla mnie święcie, więc znowu przy stole życzenia, toasty. Była już późna godzina po śniadaniu, kiedy wkońcu, mocno zmachany przeżyciami i tak silnemi wrażeniami, dotarłem do swojego pokoju.

Rzucam się na miękki fotel — przychodzą teraz wspomnienia z lat dawnych, minionych, kiedy, będąc bardzo młodym chłopcem, podchodziłem sam swojego pierwszego głuszca w życiu. A dziś oto już setnego!... Jakie wrażenie przeżywałem wtedy i teraz? Co odczuwałem za każdym razem, podczas tych dwóch ranków, tak odległych latami od siebie? Nie widzę dzisiaj różnicy. Tamten pierwszy, właśnie ponieważ był nim, neutralizuje tego setnego. Bo dla mnie każdy głuszec wypracowany na toku stanowi osobną kartę wspomnień, gdzie nie może być miejsca dla drugiego z tego samego ranka, bo to byłby dysonans. Jedno, czego mi wtedy brakowało, to tej pewności siebie i znajomości wszystkich tajników „kunsztu głuszcowego", które się zdobywa dopiero latami długiej praktyki. Ale siła wrażeń pozostała ta sama. Oczy już się kleją, prawie zasypiając widzę jeszcze, jak w kalejdoskopie, przesuwające się czarowne obrazy z tego pamiętnego na całe życie szczęśliwego ranka.

Dla wielu tysięcy obecnie polujących napewno ten mój jubileusz setnego głuszca i związane z nim drogie przeżycia nie będą nigdy zrozumiałe, gdyż skalą ich wzruszeń są rekordowe rozkłady, w których głuszce są traktowane, jak kaczki i kuropatwy, a rysie i wilki, jak szaraki. Jestem jednak przekonany, że u nas jeszcze są myśliwi, w pełnem znaczeniu tego słowa, którzy pierwsze swoje kroki myśliwskie, tak jak ja, stawiali już w dzieciństwie, wśród naszych kniej kresowych, gdzie w każdej rodzinie były pielęgnowane nasze tradycje łowieckie, troskliwie przekazywane z ojca na syna. Tych właśnie, może nielicznym czytelnikom i prawdziwym znawcom czaru głuszcowej pieśni, niniejsze skromne wspomnienie poświęcam.

HENRYK BUSZYŃSKI

NA TOKOWISKU

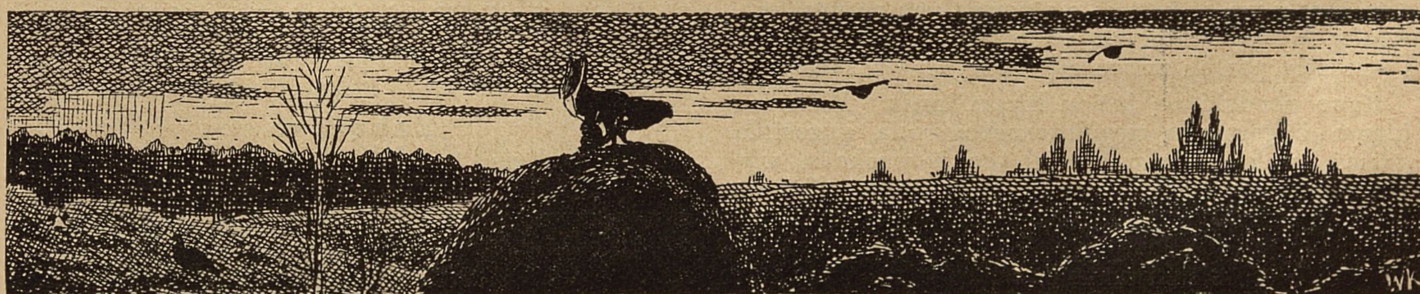
P. Stanisławowi Hoppe'mu, którego praca „Polski język łowiecki" natchnęła mnie do napisania tego wiersza.

Nad tokowiskiem — gęstą mgłą osnuty —
budzi się przedświt, walcząc z mroczną nocą.
Na turniej swój zlatują się koguty —
— bełkocą, czuszykają i bulgocą...
Zaczął wodzirej — pierwszy wśród rycerzy —
a po nim reszta do toków się bierze.

Odświętne suknie błyszczą niby zbroja...
Nad ziernikami — róże koralowe!
Cieciorka kwokcze: „Bierz mnie, jestem twoja!"
Dla tokowika każda straci głowę,
choć wie, że kogut skromność jej podepce...
Co zrobić — wiosna tak kusząco szepce,
a kogut ma tak piękne piórka w lirze
i lustra takie ma na barkach białe!
Cieciorka więc podchodzi coraz bliżej,
bo czuszykania dźwięki ją porwały...
Już z poza lasu słońce się wychyla...
Nastanie wkrótce szabasowa chwila,

milczenia chwila, chwila wielkiej ciszy —
— należny hołd dla bóstwa promiennego...
A potem czuszykanie znów się słyszy
i bełkot głośny wkoło się rozlega...
Miłosnych zaklęć dźwięk rozbrzmiewa wszędzie,
bo wiosna w sercach była, jest i będzie!

W. L. von FALKENAU





Puszcza w Wólce Klesowskiej. Psy na tropie. Fot. J. Żagiell.

FRAGMENTY WIELKICH ŁOWÓW

W drodze.

Ciągną myśliwi z różnych punktów kraju, ciągną na wschód, zaproszeni przez gospodarstwa historycznej knieni polskiej na doroczną ucztę łowiecką.

Na dworcu Wschodnim parę wolnych przedziałów jedynego wagonu 1 i 2 klasy wypełnili po brzegi swemi osobami, masą rzeczy, rozgwarem rozmów i śmiechu!

Śniegu po drodze niewiele, ale tam w lesie napewno jest go więcej; temperatura w okolicy zera, ale tam na kresach musi być chłodniej. Dzików jakoby chmary, niewykluczone są i wilki, o rysiach trudno marzyć, ale....?

Kto jedzie od Warszawy, kto przyjedzie wprost z południa czy północy, kto gdzie ostatnio polował i co ubił, parę opowieści o niezwykłych przygodach, trochę kawałów starych i nowych, dużo śmiechu i wreszcie powoli ucisza się — myśliwi zasypiają.

Rano obudzili się już w innym kraju. Piekielne tempo i gorączka współczesnego życia pozostała gdzieś daleko w tyle; powiał spokój wschodu, wygładził nerwy, rozjaśnił twarze. Tu się już nikt nie śpieszy, wszyscy mają dużo, bardzo dużo czasu, nie wykluczając tych samych myśliwych, co jeszcze parę godzin temu taki nadmiar nerwów we wszystkie swe funkcje wkładali. Teraz stoją spokojnie obok zwału rzeczy, przenoszonych do muzealnego pociągu, mającego ich przewieźć z dworca Centralnego tego kresowego węzła kolejowego na dworzec Wschodni.

— Czyśmy aby dobrze wysiedli — woła zaniepokojony zagraniczny dyplomata — tu nietylko „Centralnego", ale wogóle żadnego dworca niema!

— Dworca niema, ale tablica na budce jest, znaczy się Centralny dworzec jest! — otrzymuje odpowiedź, dostrojoną do warunków miejscowych.

Potem kawa na wspaniałym i pustym dworcu Wschodnim, potem dwugodzinne czekanie na inny pociąg, ażeby przejechać parę stacyj i już wąskotorowy „train bleu" gospodarza wiezie liczną kompanję w głąb uroczych w swym prymitywie borów kresowych, wprost na pierwszy miot, słusznie przez kogoś nazwany „zakąskowym", bo potem dzisiejszy program przewiduje już tylko obiad i spanie.

Zakąska.

Zatrzymał się „train bleu". Wysypali się już myśliwi, hurmem otaczając nadleśniczego, który z obiecującą miną daje niezbyt angażujące go informacje o miocie. O, bo pan nadleśniczy to człowiek wytrawny w łowieckim zawodzie, wie dobrze jaki to trudny

naród ci myśliwi. Niech tylko tu dziki nie wyjdą na ich linję, czy dlatego, że instynktem wiedzione, przerwały nagankę, czy uderzyły w bok, czy też w ostatniej chwili wyniosły się z miotu — zawsze znajdą coś do zarzucenia prowadzącemu polowanie. No, naturalnie, bo dlaczego brał miot w tym kierunku, a nie w tamtym, dlaczego stanowiska tak rzadko były rozstawione, a właśnie tam, gdzie poszły dziki, nikogo nie było? Dlaczego naganka albo szła za głośno, albo za cicho, a już nie daj Boże jeśli się rozerwała. Źle jest, jeśli się długo czeka, bo przed miotem sprawdzają tropy, ale jeśli tego nie zrobili, a dziki wypadkiem wyszły, to dlaczego nie tropili, co to za porządki i t. d., i t. d.

Nie martw się, biedny kierowniku polowania, nie było jeszcze takiego, coby zadowolił myśliwego.

Ale tym razem nadleśniczy ocalał, w miocie było dużo dzików, po pierwszych strzałach rozbiły się, trochę przeszło przez nagankę, ale większość wyszła na linję i 11 sztuk legło, a obok nich jeden pies, który tak niefortunnie dla siebie czarnym grzbietem i ruchami imitował dzika, że celnym strzałem na 150 kroków został rozłożony na miejscu. Ano trudno, niech się zachowuje jak porządny pies, niech daje głos, a nie myszkuje po haszczach.

Po tak doskonałej zakąsce zastęp myśliwych w znakomitych humorach ruszył długim sznurem sań do nadleśnictwa na obiad.

Szczęście kulawego.

Z wieczora p. nadleśniczy był dziwnie tajemniczy. Szeptał coś na boku z kolegami z administracji, nie chciał siąść do brydża, upewnił się, czy przy telefonie będzie całą noc ktoś dyżurował, wreszcie znikł.

Pomiędzy myśliwymi rozeszła się pogłoska, że to wilki nie dają mu spokoju. Pan inspektor lasów, przyciśnięty do muru, mówi, że wataha wilków, wychowanków sowieckich, od paru dni co wieczór przychodzi z zagranicy i zalega w jednym z kwartałów. Nadleśniczy obciągnął dwa boki kwartału fladrami i jeśli przyjdą i dziś, to nocą chce je zamknąć.

Pokiwali głowami najwytrawniejsi z myśliwych, starzy wilczarze.

— Wielki jest optymista ten p. nadleśniczy, jak to on chce nocą obciągnąć parę kilometrów ostępu fladrami, żeby wilki nie usłyszały? Żeby im przynajmniej położył konia, to jeszcze w trzasku gruchotanych kości możeby i nie zauważyły, ale tak na sucho — wykluczone, niemożliwe! Pojedziemy jutro na dziki, nim otropią, zdążymy się dobrze wyspać. I na to konto grali dalej spokojnie w brydża.

— Wykluczone?... niemożliwe?... Kto to powiedział — niech powtórzy jeszcze raz po tem, co się stało.

O 5-ej rano zadzwonił telefon, potem gospodarz zapalił światło we wspólnej sypialni.

— Wstawajcie, wilki ofladrowane, za godzinę jedziemy.

— Jakie wilki, te sowieckie?... Zawracanie głowy, szkoda czasu, jeśli były, to już wyszły, lepiej spać — odezwały się z rzędów łóżek groźne pomruki, ten i ów przewrócił się na drugi bok, aż łóżko zatrzeszczało, stęknął i spał dalej. Ale miły gospodarz nastawał.

— Dajcie spokój, podobno są, trzeba jechać. No, wstawajcie!

Pełni niewiary, raczej by nie robić przykrości gospodarzowi, powoli zaczęli gramolić się z ciepłych łóżek, narazie leniwie, z ziewaniem, milcząco. Stopniowo, a nawet dość szybko, atmosfera łowiecka zaczęła jednak działać ożywczo na brać myśliwską. Ten i ów odezwał się, tamten zakpił, ktoś roześmiał się i ożył dom rozgwarem rozmów, ruchu i śmiechu.

Dopiero koło 8½ rano dowiózł „train bleu" pesymistycznie ale wesoło nastrojonych myśliwych do miejsca, skąd już saniami mieli dojechać do oddalonego o parę kilometrów owego tajemniczego ostępu, który miał jakoby zawierać nocą ofladrowane wilki.



Tropienie dzików. Fot. Inż. E. Woynicki.

Zaraz zwarcie otoczyli p. nadleśniczego, który z zadziwiającą pewnością siebie oświadczył, że jest pięć albo siedem wilków, gdyż rano zauważono jeszcze dwa tropy wejściowe. Następnie wyjaśnił, że ofladrowane są dwa kwartały, że myśliwi stanąć muszą wzdłuż długiej linji, a zatem na dwóch kilometrach, że wilki będą miały wagę na południo-wschód, a zatem ku prawemu skrzydłu.

Zadumało się nad odrysowanym na śniegu planem paru doświadczonych wilczarzy.

— To nic z tego nie wyjdzie — rzekł wreszcie jeden z nich — to za długa linja, jeśli wilki jeszcze nie wyszły, to jak tylko usłyszą nagankę, uderzą w jedno miejsce. Jeden — dwa może padną, reszta przerwie się. Niech pan postawi lepiej część myśliwych na linji dzielącej oba kwartały, a pozostałymi obsadzi południowo-wschodni kąt ostępu i każe pędzić wzdłuż; w ten sposób będzie jeszcze jakaś szansa.

Nadleśniczy jednak broni swego planu, już ma tak naszykowaną nagankę, wilki są już w ruchu, a więc na zmiany niema czasu.

— No tak, ale to beznadziejne — pada odpowiedź.

— Masz rację, twój plan jest niewątpliwie słuszny, ale ustąp, skoro tak jest już wszystko przygotowane — odezwały się kompromisowe głosy.

— Może panowie pociągną stanowiska — zawołał p. nadleśniczy, zadowolony, że plan jego ostał się.

Pociągnęli — pojechali.

Długi sznur sań zagłębił się w las, potem przeciął łąki. Uderzyły mocniej serca, na brzegu lasu zamigotały rzucane lekkim wiatrem różnokolorowe fladry. Myśliwi zaniemówili, kierując wzrok poprzez fascynujące kolorowe szmatki, w głąb tajemniczego lasu. Korowód sań cicho sunął ku brzegowi lasu, gdzie fladry skręcały w głąb i dalej już krokiem pociągnął wzdłuż nich. Wzrok myśliwych ślizgał się po białym śniegu, chwytając tropy przeróżnego zwierza, przebiegał badawczo po fladrach, to znów starał się przeszyć gęstwiny leśne.

Te fladry w większości myśliwych nie budziły wielkiego zaufania. Zawieszone czysto i równo, ale za wysoko, chorągiewki wskutek tego nie dostają do ziemi, a pozatem są za wąskie i szczególnie koło drzew tworzą się dość szerokie bramki. Jeśli tam jest wilk doświadczony, co spotkał się już w swem bandyckiem życiu z fladrami, napewno wyprowadzi resztę.



Zaskoczony... Fot. Inż. E. Woynicki.

Wreszcie dojechali do lewego skrzydła linji i to nie bez pewnego trudu, gdyż coraz to któryś koń zapadał głęboko w błoto, zaledwie z wierzchu zamarznięte. Hałaśliwe wyciąganie koni z błota, częste zatrzymywanie się długiego korowodu sań i powstające stąd opóźnienie, wreszcie pewna obawa przed znalezieniem się w błocie, wszystko to razem podnosiło nastrój nerwowy i wzmagało raczej pesymizm całej kompanji myśliwskiej.

Powoli, pocichu pociągnęli myśliwi gęsiego wzdłuż linji na swe stanowiska.

Kto przynosi największe szczęście w życiu? Mówią, że garbaty. Takiego w tej, prawie bez wyjątku dorodnej, kompanji oczywiście nie było. Ale za to był kulawy, z zupełnie prawidłowo nadłamaną nogą. Wyciągnął on stanowisko N. 11 i odważnie, stawiając czoło przeciwnościom, a chorą nogę na twardej grudzie zmarzniętego błota, wsparty na lasce, ruszył powoli na przeszło kilometrową wędrówkę. Prawdopodobnie w przejściu otarł się o niego myśliwy N. 2, a wiadomo, że garbatego trzeba się dotknąć, i odrazu zaproponował kulawemu zamianę stanowisk, bo przecież z taką nogą niesposób tak daleko dojść — ciężko i niebezpiecznie. Kulawy trochę się wzdragał, bo myśliwi to przeważnie fataliści, ale akurat koło stanowiska N. 2 źle stąpnął, syknął, no i siadł, a uprzejmy myśliwy ruszył na drugi koniec linji na jego miejsce.

Wreszcie wszyscy stanęli, obejrzeli dokładnie swe stanowiska, wyszukali dogodne luki, udeptali śnieg, wsparli się mocniej na nogach i znieruchomieli.

Zagrała trąbka, druga jej odpowiedziała i już wkrótce zaczął dochodzić zdala, z głębi lasów, potężny głos 250 naganiaczy. Szli z fantazją, po kresowemu, no i na wilka *).

Naraz huknęły strzały na prawem skrzydle, rozsypały się w prawo i lewo, zelektryzowały całą linję. Naganka odpowiedziała radośnie zdwojonym rykiem.

Wilki, ściśle według przepowiedni nadleśniczego, uderzyły w prawo, przywitane strzałami rozsypały się na obie strony, wpadły pojedyńczo na sąsiednie stanowiska, a nawet jeden oszalały dopadł aż do lewego skrzydła. Sześć z nich legło, a tylko jeden, podobno ranny, przerwał się przez linję myśliwych.

I któż miał najwięcej szczęścia? — Oczywiście ten uprzejmy myśliwy, co otarł się o kulawego. A że był do tego wytrawnym strzelcem, pięknym dubletem położył dwa wilki. Kulawy natomiast miał przyjemność, że słyszał dużo strzałów, no i że za wyświadczoną mu uprzejmość miał możność ofiarować swe stanowisko z dwoma wilkami, sam jednak wilka nie widział.

Otoczyli myśliwi kołem rozciągnięte na śniegu wilki. Podniecenie ogromne! Ci co zdobyli wilka gorączkowo opowiadają jak to było, ci co spudłowali — tłomaczą jak to nieszczęśliwie się dla nich złożyło, pozostali wypytują się, przysłuchują i ustalają na zimno rzeczywisty stan rzeczy. O, bo stwierdzenie co się faktycznie stało na każdem ze stanowisk, to jest prawdziwa pasja wszystkich myśliwych, a w szczególności tych, co w tym miocie nie strzelali. Jeszcze badanie ubitych sztuk, który z nich stary, a który młody, który piękny, a który średniak — stara wadera, basior, czy piastun — wreszcie serdeczne uściski i podziękowania rozpromienionemu gospodarzowi za ten niezwykły miot, który, jako rzadka i wielka przygoda łowiecka, przez długie lata stanowić będzie jedną z tych najciekawszych opowieści myśliwskich.

Rewanż kulawego.

Rano, przed wyjazdem z domu, huczy i kłębi się w przedpokoju i na ganku. Myśliwi ubierają się; przeważnie czegoś szukają. Ten nie ma czapki czy szalika, tamtemu zapodziała się gdzieś laska, a w ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie ma chustki do nosa, inny wreszcie nie widzi swego

*) Zupełnie fałszywa dyspozycja. Przy polowaniu na wilki w sznurach wpuszcza się do miotu 3—4 najwyżej 10 starannie wybranych naganiaczy, którzy mają iść cicho, czasem tylko postukując o drzewa. Wpuszczenie większej ilości naganiaczy, zachowujących się przytem z reguły hałaśliwie, to najlepszy sposób wypędzenia w ciągu najbliższych 10 minut wilków z miotu. Że w danym wypadku się udało, niczego to nie dowodzi. (Przyp. redakcji).

strzelca, bo „tego szelmy nigdy niema tam, gdzie potrzeba".

Wreszcie z tego kłębowiska wypadają przed ganek ku sankom pierwsi gotowi.

— Panowie zechcą pociągnąć numerki — pada głos nadleśniczego.

Nic tak uspokajająco nie działa na myśliwych, jak to wezwanie. W jednej chwili zapominają o swych czapkach, o szalikach, czy też z zasady wszystkiemu winnych strzelcach. Wszyscy ruszają w ciszy i skupieniu ku wyciągniętej czapce. Ci co wierzą w swoje szczęście — ostro i przebojowo; inni, mniej pewni czy też fataliści — raczej ociągając się.

O, bo jakiż to ważny moment! Na takich łowach tylko dwa, czasem trzy mioty dziennie bierze się, a ten pierwszy prawie zawsze jest najlepszy. Celebrują więc myśliwi tę uroczystość, każdy na swój wypróbowany sposób, magnetyzują białe ruloniki, to znów szybko, naoślep je chwytają, potem delikatnie, powoli i w skupieniu rozkręcają tak, jakby tam w środku było napisane, że wyciągnął odyńca, parę dzików, wilka, lub też puste miejsce.

A tymczasem kryje się tam tylko skromny numerek, który, pomimo że właściwie nic nie mówi, jednak odrazu budzi nadzieje i staje się drogim każdemu myśliwemu.

Każdy z nich bardzo lubi, jeśli ktoś z boku powie, że to doskonały numer, bo tam ktoś, kiedyś, coś dobrego zabił.

W czapce pozostały jeszcze dwie kartki, a obok jedna z najbardziej popularnych w łowiectwie naszem postaci, znakomity myśliwy, o solidnej postawie i okrągłej twarzy, przyozdobionej małym wąsikiem — oraz ten kulawy.

Pociągnęli. Pierwszy otrzymał jedynkę, drugi siedemnastkę, czyli obaj na skrzydłach. Jako że los bywa często przekorny, kazał więc i tym razem zdrowemu stać na miejscu, a kulawemu przejść przez całą linję na drugi jej koniec.

— Może się panowie zamienią — proponuje nadleśniczy — oba miejsca są (oczywiście) doskonałe, a pana (t. j. kulawego) podwieźć przez błoto nie mogę.

Głęboką zadumę myśliwych, szukających w duchu szczęśliwej dla nich decyzji, przerwał wesoły głos:

— Nie traćcie czasu, niech każdy idzie na swoje stanowisko, jakoś tam pan dokusztyka!

Tak się też i stało, kulawy szczęśliwie dokusztykał na prawe skrzydło, miejsce wydało mu się dobre, z prawej strony głęboki kanał, jest więc nadzieja, że zwierzyna przejdzie wzdłuż niego. Z lewej, na szesnastce doskonały i przemiły myśliwy i generał, przed nimi dość przejrzysty teren, poprzecinamy nieco wykrotami i pniami, pozatem trochę drzew, trochę podszycia.

Zdala zaczął dochodzić już potężny, choć przytłumiony odległością, głos wspaniałej kresowej naganki, co to przebija się cały dzień przez zaśnieżoną gęstwinę borów, przedewszystkiem i głównie dlatego, by zwierza zobaczyć żywego i powalonego, by huk strzałów usłyszeć.

W prawo, nad kanałem, rozległ się zajadły, budzący nadzieję gon psów, ale że nigdy prawie zwierzyna nie wychodzi tam, gdzie myśliwy się jej spodziewa, a więc i tym razem dziki nie poszły wzdłuż kanału, lecz nawróciły w głąb ostępu i uderzyły na środek linji, obsadzonej w tem miejscu przez roześmianego zagranicznego dyplomatę, który z całym zapałem oddał serję strzałów kulowych z Winchestera i śrutowych z Browninga — cóż, kiedy miał pecha, gdyż pociski jego nie imały się jakoś dzików.

Po chwili odezwały się znów strzały, potem zerwała się długa kanonada, naganka za każdym razem odpowiadała potężnym rykiem, dziki uderzały to tu, to tam, padając gęsto pod strzałami. Jednem słowem miot żył, huczał, emocjonował.

Tylko na tych dwóch „doskonałych" stanowiskach nad kanałem jakoś wciąż cisza. Wreszcie i na nie przyszła kolej. Duży dzik wyłonił się z haszczy, idąc wskok pomiędzy stanowiska. Huknęło przed linją, huknęło za linją i p. generał zdobył dzika.



Ciekawe sylwetki z kniei. Zatrzymany. Fot. J. Hołyński.

I znów cisza. Naganka już niedaleko, sytuacja robi się beznadziejna. Naraz coś mignęło w głębi lasu. Obaj myśliwi złożyli się i obaj zaraz opuścili broń. To nie dzik, to pies. Ale już w sekundę potem obaj zelektryzowani błyskawicznie skierowali swe drylingi w jeden i ten sam punkt, w którym ukazał się ni mniej ni więcej tylko... ryś!

Kulawy myśliwy dojrzał z ponad wykrotu na 80 kroków łeb o sterczących ostrych uszach i kawałek piersi, sąsiad zaś jego wpatrywał się w bok rzadkiego zwierza, częściowo zakryty pniem.

Gdyby fale magnetyczne, jakie wytwarza gwałtowna koncentracja napiętych myśli, woli i pożądania, mogły rozżarzyć się światłem, to ten trójkąt, podstawę którego stanowili dwaj myśliwi, a wierzchołek — fascynujący ryś, zajaśniałby wspaniale.

Ale tylko na krótką chwilę, gdyż zaraz potem padły, jeden po drugim, dwa strzały z siedemnastki i ryś legł trafiony drugą kulą w sam środek piersi.

Ażeby szczęście i rewanż kulawego były kompletne, trzeba dodać, że pierwsza kula otarła prawą łopatkę i co ciekawsze, ryś, prawdopodobnie oszołomiony uderzeniem, nie ruszył się przez ułamek sekundy, wystarczający dla drugiego, śmiertelnego już strzału.

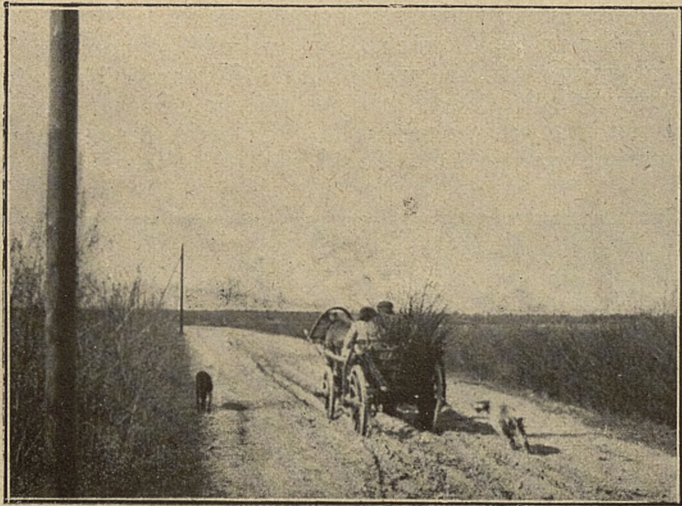
Rysia, kilkanaście dzików i dwa bielaki wyciągnięto na linję.

Na tle wielu innych był to drugi wspaniały miot w tych łowach, budzący zachwyt, olbrzymią radość i niekończące się opowiadania emocjonujących przeżyć.

JANUSZ REGULSKI

NIESAMOWITY TOK

Polując przed laty w Rosji (Iwanow-Wozniesieńsk, gub. włodzimierska) zaobserwowałem fakt, który narazie nie wywarł na mnie większego wrażenia, w miarę jednak jak ustępowała beztroska młodych lat, zacząłem zdawać sobie sprawę, że przyroda nie bez racji podsuwa niekiedy myśliwym obrazy i refleksje przypominające upomnienie... „jednej z żab śmielszej



Wiosenną drogą... Fot. J. Hołyński.

natury": „Dla was to jest igraszką, nam chodzi o życie".

Było to tak: w połowie sierpnia, roku zdaje się 1898, udałem się na tereny podmiejskie z „Garmiszką" („onże" Dorimedont Polikarpowicz Zachowajew), wyrostkiem służbistym, doskonale znającym okoliczne łowiska i zwyczaje zwierzyny. Przedpołudnie było słoneczne, wietrzyk łagodził powstający upał. Zaledwie wkroczyłem na błotko, usłane trawiastemi kępami, porwał się kszyk, którego strąciłem w odległości około 60 kroków, szóstym numerem śrutu, z okazyjnie nabytej 16-tki o cylindrycznych, silnie wystrzelanych lufach dziwerowych.

Psa przywołałem do nogi (bo lubił miętosić aportowaną zwierzynę), sam podniosełm starego, czysto ubitego ptaka. Zaledwie jednak przywiesiłem go na troczku u torby z nabojami, zatokował bekas, którego odruchowo zaczęliśmy obaj wypatrywać po niebie. Opuściwszy po chwili głowę, stwierdziłem ze zdumieniem, że wiszący bez ruchu kszyk ma zadarty (pod kątem może 50—60 stopni do grzbietu) wachlarzowato rozwinięty ogon, a wiosenne „ehe-he-he-he-he" rozbrzmiewa z przerwami dalej, wzmagając się przy zwracaniu pod wiatr podniesionej w górę torby. Po 2—3 minutach nastroszone piórka zwarły się zwolna, ogonek zwisł, dźwięki ucichły...

Niewątpliwie wiele okoliczności sprzyjających musiało złożyć się na powstanie opisanego zjawiska — m. in. zapewne: znikoma ilość trafionych śrucin (daleki strzał, stara — słabiej bijąca — strzelba), całkowite wypierzenie ptaka, niekompletne porażenie unerwienia, swobodne zawieszenie kszyka, umożliwiające rozwachlarzenie ogona (spowodowane być może skurczem, skutkiem zaciśnięcia pętlą, pod ciężarem ptaka, gardziołka lub podstawy czaszki) — wreszcie odpowiedniej siły podmuchy wiatru.

Należy przypuszczać, że bekas, tokując wiosną, naprzemian to wznosi się cichym lotem w górę, to zniża się raptownie z rozpostartym ogonkiem i złożonemi skrzydełkami, przyczem drżenie sterówek, pod wpływem ciśnienia powietrza, powoduje dźwięki, przypominające beczenie jagnięcia *).

W każdym razie przytoczona obserwacja — całkowicie wykluczająca możliwość gardłowych dźwięków u tokującego kszyka — powinna ostatecznie rozproszyć wątpliwości niektórych myśliwych, tembardziej że i Brehm wyraźnie zaznacza (Polskie wydanie: Życie Zwierząt, tom II, str. 146):

> „Kszyk jest też nazywany przez myśliwych barankiem, a to ze względu na specjalne dźwięki, wydawane przy pomocy sterówek w czasie toków wiosennych".

Bezpośrednio po opisanem zjawisku — przed laty czterdziestu — nie miałem czasu zastanawiać się nad niem. Wyżeł pracował dobrze, strzelałem nieźle, obok pierwszego bekasa — bohatera niniejszej notatki — zawisły na troczkach inne długodzioby... Dziś tem więcej żałuję, iż wiosny nie doczekał ten właśnie bekas, który — zwalczając siłą instynktownych bodźców śmierć — zademonstrował tak wyraźnie swe żądze i prawo do życia! WŁODZIMIERZ PŁUŻAŃSKI

*) Nieścisłe. T. zw. „beczenie" jest niewątpliwie furkotem sterówek, natomiast krzyki: „cieku, cieku, cieku, ciekut, ciekut" są wydawane gardłem. Sam widziałem wiosną bekasa siedzącego na suchej sośnie (wiosną czasem roztokowany bekas siada na grubych gałęziach drzew), wydającego te okrzyki. W. W. G.

NA TOKACH GŁUSZCA W WIŚLE

Telefon... Nadleśnictwo Wisła. Za chwilę odzywa się miły głos inż. Plutyńskiego, nadleśniczego jednego z największych i najwspanialszych kompleksów leśnych w Beskidach Śląskich:

— Jest dla pana zarezerwowany głuszec przez pana insp. Buczackiego — na „Roztoczy" trochę trudne i dalekie podejście — kiedy pan przyjedzie?

— Przed pierwszym maja niema mowy w naszej służbie, w czasie od 1 maja do 3-go włącznie musi się być na miejscu: — demonstracje — obchody — to wszystko nie zezwala nam na opuszczenie nawet na godzinę naszych posterunków — a zatem tylko z 4 na 5-go maja.

— Dobrze, proszę przed wyjazdem zatelefonować, aby gajowy mógł oczekiwać na pana w odpowiedniej godzinie.

Rozmowa skończona. Szybko przewracam kartki kalendarza, by stwierdzić jak długo jeszcze do tego upragnionego dnia. Tydzień... ale już odczuwam dreszcze uczty myśliwskiej — i to niebylejakiej — wszak to polowanie na głuszce w cudownych lasach Śląskich Beskidów i to pod samą Baranią, skąd polska królowa rzek, Wisła, bierze swój początek.

4-go maja. Rano pogoda niewyraźna, prószy śniegiem, a około południa śnieg z deszczem. Telefonuję do Wisły — jaka pogoda? Taka sama, tylko że śnieg

bez deszczu — no, ale do rana pogoda może się zminić. Krótki telefon do Nadleśnictwa, który odbiera sekretarz: — przyjeżdżam o godz. 19-ej. — Dobrze, gajowy Gruszka będzie oczekiwał u zbiegu Białej i Czarnej Wisełki, pod zameczkiem Pana Prezydenta Rzplitej.

Po skończonej pracy w biurze — powrót do domu, obiad i szybkie przygotowanie do wyjazdu, a potem wyjazd. Autobus, jeden z krążących po całym powiecie cieszyńskim, zawozi mnie dokładnie do zbiegu Wisełek o godz. 19,05. Czeka na mnie młody i sympatyczny leśniczy, wyjaśniając z miejsca, że gajowy zawiadomiony i że nadejdzie, a ponieważ jego droga prowadzi w tym kierunku, więc część drogi mnie podprowadzi. Z miłą chęcią przyjmuję propozycję, mimo że Beskidy znam nieźle z wycieczek letnich i narciarskich.

Posuwamy się w górę niezłą nawet drogą, przepiękną (jedną z najładniejszych) doliną Białej Wisełki, rozmawiając o lesie, zwierzynie, pracy i t. p. Po 3-ch kwadransach marszu spotyka nas gajowy Gruszka — smukły, opalony mężczyzna. Następuje z kolei krótkie poznanie się, intryguje mnie twarz, skąd ja ją znam? Po krótkiej rozmowie okazuje się, że z zawodów narciarskich, gdzie gajowy ten bierze udział w zespołach leśników i biega, nie przymierzając jak sarna, a w tym roku zdobył po raz drugi pierwszą nagrodę. Pozatem, jak twierdzi, zna mnie z czasów, gdy pełniłem służbę ochronną w Wiśle podczas pobytu Pana Prezydenta R. P. — Jednem słowem: starzy znajomi. Rozmowa toczy się szybko już we trzech. Po 20 minutach marszu żegna nas leśniczy, który dotarł już do swej siedziby i ma tylko kawałek „podejścia", a my natomiast coraz węższą doliną Białej Wisełki i coraz cudowniejszą drogą posuwamy się w górę.

Szum coraz silniejszy — to masy wód, ściśnięte w kamiennem łożysku potoku, walą z szaloną siłą w dół. Zaczynają się kaskady Wisełki, przechodzące w górze w cudowne wodospady, które niestety zna niewielu wycieczkowiczów i letników przebywających w Wiśle, chociaż droga do nich nie jest uciążliwa — może jedynie trochę długa, ale przecież tak piękna! Dochodzimy do celu. Bez „podejścia" w górach żadna droga „nieważna". Jeszcze więc krótkie 200 m. podejścia i jesteśmy w gajówce.

Za chwilę wchodzi gosposia, wita się i zapytuje czem może służyć? Szklanką gorącego mleka, resztę mam ze sobą. Czekoladą dzielę się sprawiedliwie z 4-ro letnim młodym Gruszką, który, usłyszawszy, że jest gość w domu, uważał za stosowne ubrać się i przywitać pozdrowieniem „cześć". Na pytanie, skąd tak po wojskowemu umie salutować, odpowiada śmiało, że „pan oficer nauczył go". Otrzymawszy swą część i dla braciszka, grzecznie podziękował i opuścił nas. Oto właśnie wchodzi gosposia z mlekiem i z miną dość kwaśną. Stawiając dzbanek na stół, oświadcza: „na dworze śnieżyca — nie wiem czy się panu co uda". Nie tracimy jednak nadziei — do rana sytuacja może się zmienić, jak zwykle w górach. Tak też i było. Krótko układamy plan, a ponieważ zostało nam z górą 3 godziny czasu, udajemy się na krótki spoczynek. Przed 2-gą nerwowy jazgot budzika stawia nas na nogi. Szybko ubieramy się i ruszamy.

Po 30-tu minutach marszu jesteśmy na miejscu, na dworze jasno od śniegu. Śnieg już przestał padać, cisza cudowna. Dochodzimy do tokowiska, nasłuchujemy, nic jednak nie mąci majestatycznej ciszy lasów i gór. Gajowy zaczyna się denerwować. Wczoraj tokowały, ale nocna śnieżyca musiała je spędzić w dół. Pozostawia mnie samego, sam zaś idzie na drugie tokowisko. Wraca po 20 minutach zrezygnowany, gdyż i tam również bezwzględna cisza. Mimo to nie tracę nadziei i twierdzę, że toki rozpoczną się dziś później ze względu na nocny śnieg i wiatr, musimy tylko zejść trochę w dół, na leżące niżej tokowiska.

Tak też robimy. Spuszczamy się na zrąb leżący około 150 m. niżej i, nie dochodząc do niego — słyszymy już pieśń „trubadura lasów wiślańskich". Zaczynamy podchodzić, pieśń staje się coraz silniejsza. Orjentujemy się, że jesteśmy dość blisko, jednak nie możemy gracza dojrzeć — siedzi widać nisko wśród konarów drzew. W tym momencie zlatuje na ziemię kura, a za nią rozlega się szum i 8 wspaniałych czarnych kogutów spada na ziemię! Formalnie stoimy w środku, oszołomieni zjawiskiem. Po chwili ptaki przybierają podstawą bojową, srożą pióra, skrzydłami prują śnieżny puch i nacierają na siebie — zaczyna się walka! Coś wspaniałego i niezapomnianego.



Z rysunku ołówkowego O. J. Poturnika.

Obserwujemy dość długo, nareszcie decyduję się na strzał. Dość trudny wybór — którego? Jeden wspanialszy od drugiego, przede mną na jakieś 30 kroków wre walka 2-ch rywali, wreszcie jeden odstępuje, a zobaczywszy innego rywala, sunie wspaniale po śniegu do niego — nie doszedł — strzał przerwał jego atak! Został prawie w tej samej pozycji na śniegu, tylko leżąc z rozciągniętemi skrzydłami i wyciągniętym dziobem.

Ponowny szum skrzydeł zwiastuje, że reszta odleciała, ale proszę nie sądzić, że wszystkie. Jeszcze jedna para walczy zajadle mimo strzału, a przeciwnik ubitego okrąża wokoło już nieżywego rywala i to wszystko dzieje się pomimo, że z gajowym prowadzimy rozmowę dość głośną i obaj zapaliliśmy papierosy!

Po chwili odlatują i dwaj walczący rycerze, a za nimi poważnie i wolno odchodzi zacięty rywal ubitego przeze mnie koguta, aby po odejściu jakieś 60 kroków spłynąć lekko ze stoku do niżej położonego lasu w poszukiwaniu może nowych przygód.

Była to scena, której się nigdy w życiu nie zapomni i kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze taki widok się powtórzy!

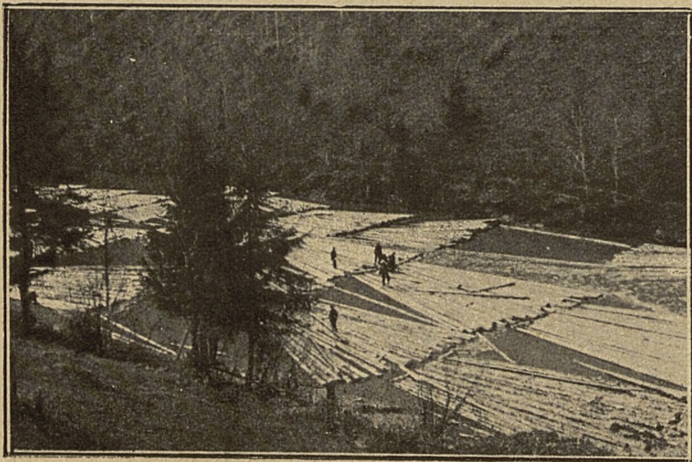
BRONISŁAW NOWAK

SŁOWNICTWO ŁOWIECKIE

Gdy w jesieni ubiegłego roku, po sumie w Straszęcinie, uświadomił mnie pewien wybitny myśliwy, że odtąd końcowe rozgałęzienia rosoch łosich będą się nazywały pasynkami, zafrasowałem się srodze. Widząc moje wahania, z wielką gorliwością tłomaczył mi, że tylko to określenie jest słuszne, prawidłowe, że uznał je znawca tej miary, co prof. Ziembicki, że sprawa jest postanowiona, przesądzona, wogóle — mucha nie usiądzie!...

Mimo to „pasynek" ten nie dawał mi spokoju i ze stukotem pulmanowskich kół towarzyszył mi do Katowic. Chodziłem parę dni zmartwiony i pogrążony w deliberacji, aż spotkałem znajomego polonistę, który, zaznajomiwszy się z przyczyną mych trosk, rzekł fachowo:

— A cóż u licha, przejmujesz się tem, jak tam nazwać róg, który jakaś klempa przyprawia swemu bykowi?



Spław drzewa na Czarnym Czeremoszu. Fot. J. Strzelecki

Wobec tego nikt inny, jeno my myśliwi tę sprawę rozstrzygnąć musimy. Odzyskałem więc równowagę, lecz instynktownie przeczułem, że ten pasynek narobi jeszcze piekła, gdy się tylko na światło dzienne ukaże.

I rzeczywiście! Prof. Ziembicki wystąpił w „Łowcu Polskim" z zapowiedzianą przez mego rozmówcę inicjatywą ustalenia „pasynka", jako jedynie poprawnego określenia, w miejsce powszechnie używanego p a s e m k a. Kości zostały rzucone.

W artykule do „Myśliwego" w Poznaniu, (który się nie ukazał) potępiłem pasynek, jako niezgodny z duchem języka polskiego, dziwacznie i obco dla nas brzmiący, zalatujący Rosją i dziegciem. Wiadomo, że dziegieć, to nie nasz środek kosmetyczny, dlatego też skromnem mem zdaniem i, jak się obecnie okazuje, zgodnie z opinją kpt. Kobylańskiego i innych pisarzy łowieckich, sądzę, że i pasynek nie będzie nigdy perłą w naszej łowieckiej skarbnicy językowej. Zresztą poco nam fałszywe perły, skoro mamy prawdziwy i ogólnie uznany klejnot: p a s e m k o, którego polska rdzenność nie budzi żadnych wątpliwości.

Szkoda, że w dziele p. t. „Polski język łowiecki" P. Stanisław Hoppe stanął, niestety, zdecydowanie po stronie „pasynka". Otrzymawszy tę książkę, czytałem ją jednym tchem i z radością, że wreszcie mamy poważną i obszerną pracę, stanowiącą wielki krok naprzód na drodze uporządkowania tej tak dotąd zaniedbanej dziedziny naszego łowiectwa. Jest ona usystematyzowaną i w przystępnej formie podaną kontynuacją zamierzeń kpt. Kobylańskiego, ogłoszonych w 20-tu artykułach „Łowca Polskiego" z 1937 roku.

Świat łowiecki musi być wdzięczny p. Hoppemu za podjęty trud i oddanie do jego praktycznego użytku pracy, opartej na głębokiem ujęciu tematu, obszernej wiedzy i źródłowych podstawach. Sam Autor stwierdza jednak, że dzieło będzie wymagało uzupełnień, do czego niezbędną jest współpraca ogółu myśliwych. Omawiana książka w okresie ostatnich lat stanowi najważniejsze wydarzenie w naszej literaturze łowieckiej i dla dobra sprawy winna wywołać szeroką dyskusję, dobra sprawy winna wywołać szeroką dyskusję, świadczącą o pierwszorzędnej aktualności problemu.

Zdaję sobie z tego sprawę, że gdybyśmy ze słownictwa łowieckiego odrzucili pewne wyrażenia tylko dlatego, że się tym i owym myśliwym nie podobają, to z języka łowieckiego niewieleby pozostało. Niemniej jednak kryterjum podobania się odgrywa z natury rzeczy dużą rolę w ustalaniu wyrażeń fachowych w potocznem życiu. Tego momentu więc całkowicie lekceważyć nie można...

Tem poprzedziwszy... pozwolę sobie, zachęcony wezwaniem, „skrytykować" pożyteczną pracę Autora, jak następuje:

Przedewszystkiem tytuł nie jest ścisły i nie odpowiada w pełni treści dzieła, winien raczej brzmieć: „Polskie słownictwo łowieckie". Nazwanie wozu na ubitą zwierzynę zwierzakiem (17) nie wydaje mi się szczęśliwe. Szpile (19), szpiczak (24), haki (26), sztych (28), dukt (94), tryb (94) są słowami obcemi i wartoby się zastanowić nad ich możliwem usunięciem. Trzebienie (19) nie powinno oznaczać patroszenia. Mokrzenie jest wyrażeniem (21) zgoła dziwnem. Pasemko nie ustąpi tak łatwo wynalezionemu pasynkowi (22). Wyrażenie tyki z odnogami (24) — chociaż przyjęło się już trochę — jest i brzydkie i bezsensowne, bo tyka żadnych odnóg mieć nie powinna. Zgoła niejasne jest zdanie (25): Byk zrzuca corocznie wieniec (zwiemy go wówczas gomułą), który następnie odrasta. Co to znaczy? Uważam za niewłaściwe nazywanie ogona kwiatem (26). Zamiast parostki, winno się mówić różki — ten dziwoląg nie jest potrzebny. Cewki nie powinny oznaczać nóg sarny (35). Wprawdzie przyjmuje się słowo osoka, nawet ładne, ale trudno się zgodzić na synonim: otropić — osoczyć (47), sądzę, że należałoby raczej pozostać przy formie osaczyć. Psy nie stanowią (48) nigdy dzików — tegoby jeszcze brakowało!—lecz je ewentualnie osadzają. Zwrot: idzie na dym (49) nie odpowiada dzisiejszym czasom, lecz uświęcony jest tradycją; jego synonimem — jest szarża. Śmierdzącego gruczołu u nasady lisiego ogona fiołkiem (54) bym nie nazywał. Musimy się jednak wyzbyć tej zaprawdę dziwnej w słownictwie łowieckiem skłonności... florystyczno-ogonowej. Powiedzenie, że kogut depce (65) głuszki, jest brutalne nieco. Zwalczam jałówki u koropatw, bo w tem

nie widzę ani logiki, ani fantazji, ani poezji. Zwrot: młódki wykluwają się (75) jest błędny podwójnie. Winno być: pisklęta wykłuwają się. W polskim języku nie mamy słowa kluć, tylko kłuć — nie klapać tylko kłapać (76); nie szerść tylko sierść. Nazwanie kurtki myśliczkiem (91) nie wydaje mi się trafne. Wilki wynoszą się z obieży (99), to nie znaczy z ostępu, lecz z opresji. Zamiast sztucer (118) poprawniej może byłoby sztuciec, choć niektórzy twierdzą, że ten wyraz oznacza widelec.

To byłyby moje uwagi i zastrzeżenia, które zgodnie z wezwaniem Szan. Autora poddaję pod filtr dyskusji i rozwagi drużyny myśliwskiej.

I jeszcze parę słów natury ogólnej. Wyrażenie: oczy oczami — uzyskało zatwierdzienie w poezji, bo Malczewski pisze:

...gdzie pędzisz Kozacze,
czyś zaoczył zająca, co po stepie skacze?

ale wątpię czy przyjmie się w potocznej prozie łowieckiej. Ta dwukrotna rujka u łosia (22) jest niedopuszczalna. Rójka może być u pszczół. A teraz nagonka i naganka!... W Nr. 35/38 Redakcja „Łowca Polskiego" pouczyła mnie, że naganka jest „pojęciem" trafniejszem, bo nikt zwierzyny nie goni, prócz psów... Jest to bardzo wątpliwe i obosieczne twierdzenie! Wszak myśliwy musi czasem dobrze pogonić za uchodzącym zwierzem, a polując z chartami goni na koniu, gdy z drugiej strony są psy (ogary), które właśnie nietyle gonią, ile naganiają *). Zresztą nie stąd wywodzi się wyrażenie nagonka. Ludzie biorący w niej udział ani nie gonią, ani nie naganiają, oni przyszli uczestniczyć w polowaniu, przyszli na gon i stąd słusznie nagonką się zowią! Stanowisko Redakcji nie jest ugruntowane przekonywującą argumentacją. Niestety, P. Hoppe hołduje również nagance, choć na str. 105 używa jednak obok naganki słowa „pogonka", które uważam już za całkiem wadliwe. Stanowczo jednak sprzeciwiłbym się nadużywaniu tego określenia tam, gdzie chodzi o gon na grubego zwierza (19, 44, 47, 52, 94). To już nie nagonka — to obława! Mickiewicz, opisując łowy na niedźwiedzia, mówi zawsze i stale: obława, obławnicy—nie użył ani razu słowa naganka!



Rz. Cyrwia w Puszczy Rudnickiej. Fot. Inż. E. Woynicki.



Po toku. Fot. J. Bończa-Markowski.

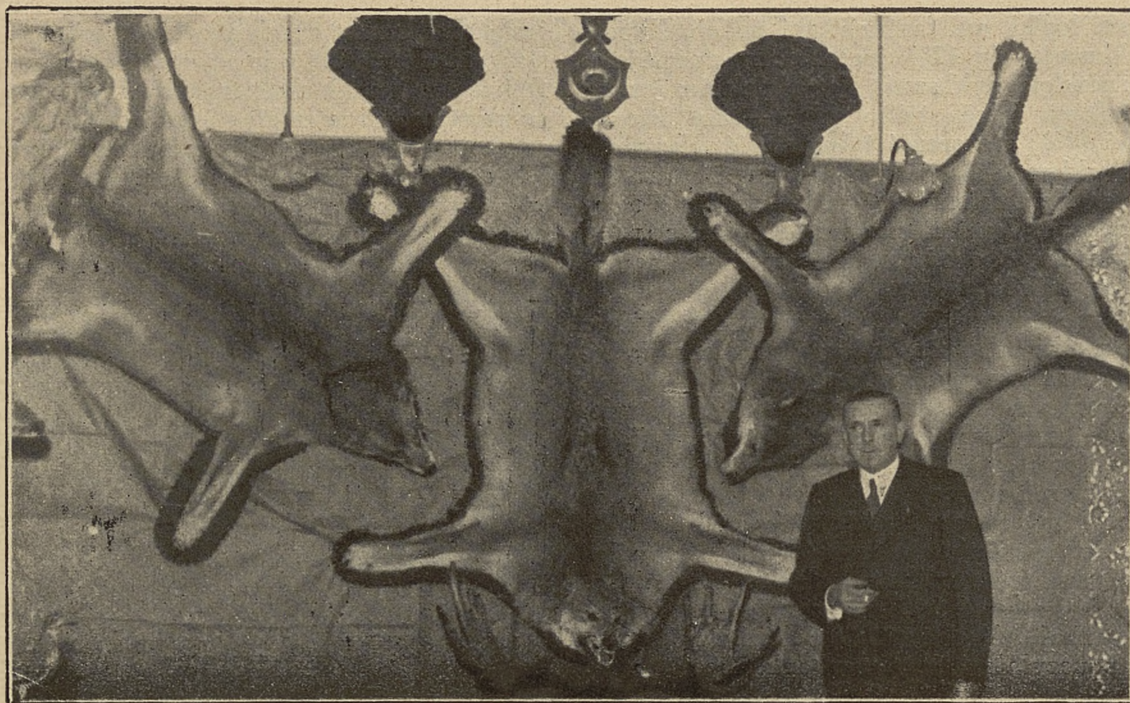
Wolałbym pominąć publikowanie takich rad, że sztuce rannej należy dać 4—6 godzin czasu na rozchorowanie się (89). Rozumiem różne konieczności w praktyce, ale nie harmonizuje to zbytnio z etyką, która nakazuje sztukę taką jaknajprędzej dostrzelić. Projektowane przez Autora myślistwo dla skróconego określenia społeczeństwa myśliwych nie jest trafne i mogłoby doprowadzić do bałamuctwa, natomiast szkoda, że nie sprecyzowano ustalającego się u nas rozgraniczenia pojęć w kolejności nadrzędnej: polowanie-myśliwstwo-łowiectwo. Wreszcie „Darzbór" jest zawołaniem leśników, ale nie myśliwych. Chociaż w ostatnich latach dość powszechnie się przyjęło, musimy sobie uświadomić, że jest ono dla myśliwych wynalazkiem dość nieodpowiednim, a czasem zgoła śmiesznym i napuszonym, gdy się go używa przy polowaniach np. na kaczki, kuropatwy... gdzie normalnie żadnych borów niema. Trzeba będzie powrócić do skromnego i dawnego: „Łowcom cześć", ile że znakomita większość myśliwych naszych w puszczach i prawdziwych borach nie poluje!!...

*

„Polski język łowiecki" jest pierwszym tego rodzaju podręcznikiem, usiłującym ująć całokształt zagadnienia językowego w łowiectwie. Wypełnia on dawno odczuwaną lukę w naszej literaturze i stanowi poważny dorobek kulturalny. Dlatego w wielu zapewne wydaniach uzupełnionych i rozszerzonych zbłądzi pod strzechy myśliwskie i spełni szczytną rolę ideowego podniesienia i organizacyjnego wzmocnienia w szeregach wyznawców św. Huberta.

Inż. Dr JAN PODGÓRNY

*) Twierdzimy jednak dalej, że umyślnie zebrani ludzie, tworzący łańcuch płoszący zwierzynę na myśliwych, nie „gonią" jej, lecz przez odpowiednie rozmieszczenie ruchomej linji naganiają; natomiast psy gończe (czy też charty) mogą tylko gonić zwierzynę, chcąc jej dopaść, bynajmniej nie mając rozumnego planu, by zwierzynę wypchnąć na linję myśliwych. Że zastępują (gończe) nagankę, to już działa tu umiejętność myśliwska ludzi, którzy, odpowiednio kojarząc zwyczaje i cechy naturalne ogara i zwierza w kniei, korzystają z psich usług na polowaniu. (Przyp. red.).



Z pokazu trofeów w Kowlu: skóry wilków, ubitych przez Łow czego Pow. d-ra S. Doganowskiego. (Vide str. 225). Fot. Ormuz

W SPRAWIE UZUPEŁNIENIA METOD OCENY SKÓR

Opracowane przez Międzynarodową Radę Łowiecką (C.I.C.) i obowiązujące obecnie powszechnie metody oceny skór szlachetnych drapieżników posiadają szereg niedociągnięć i usterek, które postaram się jaknajdokładniej omówić i w miarę możności zaprojektować uzupełnienia. Omówienie formułek zacznę od najbardziej złożonej i wymagającej dokładniejszej analizy metody oceny skór rysich, przyczem szereg uwag odnoszących się do nich może mieć zastosowanie również przy skórach innych rodzajów drapieżników.

Obecnie obowiązująca metoda pomiaru i oceniania skór rysich opiera się na formułce $a\frac{b_1+b_2}{200}+c$ w której „a" oznacza długość mierzoną w cm od końca nosa do końca ogona zapomocą taśmy, dokładnie przylegającej do profilu czaszki i linji grzbietowej skóry, „b_1" — oznacza najmniejszą szerokość skóry (w klatce piersiowej, prawie tuż za przedniemi łapami), „b_2" — oznacza odległość między końcami przednich kończyn, wyciągniętych prostopadle do linji grzbietowej (mierzoną do końca pazurów), „c" — przedstawia ilość punktów dodawanych za piękno, a wyliczanych w % od iloczynu $a\frac{b_1+b_2}{200}$ w następujących proporcjach:

1) za długość i regularność uwłosienia 0 — 5%
2) za wąsy i pędzelki na uszach 0 — 5%
3) za centki 0 — 5%
4) za bokobrody 0 — 10%

Poddajmy objektywnej analizie wszystkie wyżej wyszczególnione składniki. Pierwszy — długość „a" — nie nastręcza żadnych zastrzeżeń, gdyż jest to wielkość dokładnie dająca się zmierzyć i przy prawidłowem wyprawieniu skóry ściśle odtwarzająca rozmiary okazu. Drugi składnik „b_1", czyli szerokość skóry mierzona za przedniemi łapami, w miejscu najwęższem, w znacznie mniejszym stopniu obrazuje rzeczywiste rozmiary okazu, ponieważ na szerokość skóry w tem miejscu ma olbrzymi wpływ sposób wyprawienia skóry. Skonstatowałem na szeregu okazów o dużej rozpiętości łap i długości, nieproporcjonalnie małą szerokość skóry b_1, która wpłynęła wysoce na obniżenie ogólnej punktacji tych trofeów. Pozatem, przy porównywaniu pomiarów dokonanych na skórach wyprawionych w postaci dywaników z pomiarami sztuk wypchanych, skonstatowałem, że rysie wypchane z reguły mają szerokość w miejscu najwęższem proporcjonalnie większą, niż okazy w postaci dywaników, co przy ocenianiu i obliczaniu ostatecznej punktacji daje siłą rzeczy pierwszeństwo okazom wypchanym, jednak nie powinno mieć miejsca, ponieważ chodzi nam zawsze o objektywną ocenę trofeum.

Wobec powyższego uważam za wskazane wprowadzenie pewnej poprawki, opartej na ścisłem obliczeniu przy ustalaniu najmniejszej szerokości (b_1) skór okazów wypchanych. Poprawka ta polegałaby na uwzględnieniu czynnika redukcyjnego, opartego na łatwo dającym się wyliczyć przeciętnym stosunku szerokości b_1 do szerokości b_2 (rozpiętości przednich łap) przy skórach spreparowanych w postaci dywani-

ków. Nie można naturalnie wyliczyć tego stosunku na jednej lub kilku skórach przygodnie nadesłanych na wystawę, lecz trzeba przyjąć stosunek przeciętny dla danej odmiany, np. rysi wileńskich, poleskich lub karpackich. Na podstawie licznych pomiarów, dokonanych przeze mnie podczas bytności w Berlinie przy organizacji Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w 1937 r., a także w kraju po tej wystawie, stosunek wyrażony procentowo (b_1 w % od b_2) przedstawia się następująco:

1) dla rysi wschodnio polskich: białowieskich, nowogródzkich i z południowej Wileńszczyzny — 34%;

2) dla rysi północnych (z północnej Wileńszczyzny) — 36%;

3) dla rysi karpackich — 37%.

Z powyższego widzimy, że stosunek procentowy pomiędzy szerokością b_1 i b_2 jest u wszystkich odmian prawie jednakowy i dla celów praktycznych przy ocenie trofeów możemy śmiało przyjąć go jako stałą 36% (35,5).

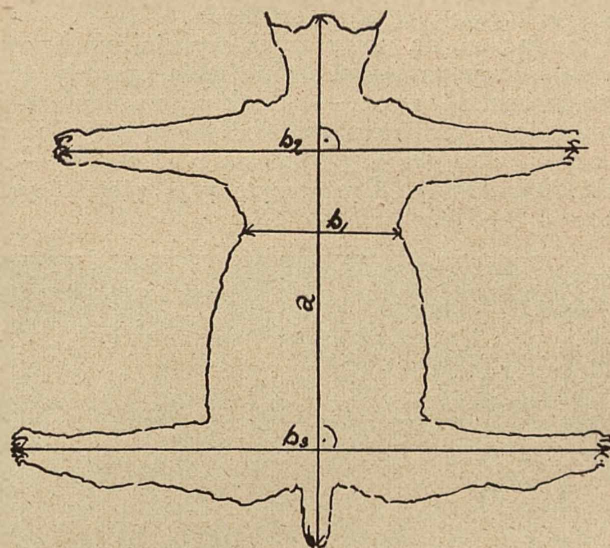
W jaki sposób należy przeprowadzić redukcję wymiarów b_1 przy okazach wypchanych, przedstawię na konkretnym przykładzie. W formułce $a \frac{b_1 + b_2}{200} + c$ którą możemy przekształcić na $\frac{a}{100} . \left(\frac{b_1}{2} + \frac{b_2}{2} \right) + c$ wymiar b_1 przy obliczaniu punktacji wchodzi w postaci $\frac{b_1}{2}$ a zatem potrącenie redukcyjne winno się równać połowie różnicy pomiędzy wymiarem b_1 sztuki wypchanej, a wymiarem wyliczonym procentowo na podstawie faktycznego wymiaru b_2. Na przykładzie wygląda to, jak następuje:

Ryś karpacki wypchany ma wymiary $a = 104$, $b_1 = 50$, $b_2 = 98$. Ilość punktów 89. Przeciętnie b_1 stanowi dla tej odmiany 37% b_2. Wobec tego ryś o rozpiętości przednich łap 98 cm, powinien posiadać $b_1 = 36$ cm, a nie 50 cm. Iloczyn $a . \frac{(b_1 + b_2)}{200}$ po podstawieniu wymiarów wyniósł 77 punktów, zaś przy podstawieniu $b_1 = 36$ cm — 70 punktów, czyli że różnica między wynikami wyniosła 7 punktów, a więc $\frac{50-36}{2}$ (połowa różnicy między zmienioną, a wyliczoną szerekością b_1). A zatem punktacja ogólna również ulegnie redukcji, gdyż „c" wyliczone w % od iloczynu $a . \frac{(b_1 + b_2)}{200}$ będzie odpowiednio mniejsze i suma ogólna również ulegnie zmniejszeniu.

Jest to moment bardzo ważny, ponieważ przez pominięcie powyższej redukcji otrzymujemy niewspółmierne wyniki pomiarów, co przy premjowaniu trofeów odgrywa doniosłą rolę.

Trzeci składnik formułki „b_2" — rozpiętość łap mierzona prostopadle do osi ciała przy łapach wyciągniętych (od końca pazurów) doskonale odtwarza jakość okazu, obrazując jego wysokość w kłębie i żadnych poprawek nie wymaga (przy założeniu, że skóra jest należycie wyprawiona i równomiernie, prawidłowo rozciągnięta).

Czwarty składnik formułki — „c", przedstawiający ilość punktów, obliczany na podstawie szacowania skóry wyrażonego w % od $a . \frac{(b_1 + b_2)}{200}$ powinien być, mojem zdaniem, poddany szczegółowej analizie i uzupełniony. Przez rozbicie „c" na szereg pozycyj — osiągamy możność dokładniejszej oceny skóry pod różnemi względami.



Skóra rysia. Rys. schem. Autora.

1) Przyznawanie za długość włosa i regularność uwłosienia od 0—5% jest zupełnie wystarczające, ponieważ większa prezyzja oceny tych cech przy skórach sztuk ubitych w porze zimowej jest, mojem zdaniem, zbędna. Zaznaczę tylko, że większą uwagę należałoby zwracać nie na długość włosa, lecz na gęstość uwłosienia, albowiem stwierdzono, że rysie górskie mają włos w zasadzie krótszy i sztywniejszy, niż okazy niżowe, północno wschodnie, a zatem przywiązywanie specjalnej uwagi do długości włosa byłoby nieraz krzywdzące dla okazów górskich.

2) Przyznawanie od 0—5% za jakość wąsów i pędzelków na uszach jest również wystarczające, bo nie skonstatowałem pod tym względem różnic, wymagających stosowania skali o większej rozpiętości.

3) Natomiast przyznawanie od 0—5% za centki, jest stanowczo niewystarczające. Kwestja ta wymaga szerszego omówienia. Przedewszystkiem niewłaściwem jest samo określenie „przyznawanie punktów za centki", ponieważ, jak dotąd udało mi się ustalić, posiadanie centek nie jest właściwością indywidualną, podlegającą premjowaniu, lecz właściwością odmiany lub typu, a mianowicie wyraźnie, ostro zarysowane centki posiadają rysie karpackie i w mniejszym nieco stopniu rysie wileńskie, natomiast wschodnio polskie — czyli poleskie, białowieskie, nowogródzkie i okazy z południowej Wileńszczyzny — wyraźnych centek o konturach mocno zarysowanych nie mają. Charakterystycznem jest natomiast występowanie u nich ciemnej, odcinającej się od tła, pręgi grzbietowej, w wysokim stopniu podnoszącej piękno skóry. Centki ta odmiana posiada okrągławe, przeważnie zlewające się z ciemno płowem tłem, przyczem widoczniejsze są one na kończynach i bokach, na grzbiecie w większości wypadków zanikają.

Wobec powyższego centki nie mogą być ogólnie

przyjętym miernikiem piękna ubarwienia skóry rysia. Powinny one być tym miernikiem tylko przy rysiach karpackich i przy rysiach niżowych z północnej Wileńszczyzny. Przy odmianie niżowej, z reguły nie posiadającej wyraźnych centek, podstawą oceny ich piękna winna być pręga grzbietowa, zaś centki tylko dodatkowo — np. jeżeli mamy dwa okazy o jednakowo wyraźnej i ciemnej prędze, lecz o niejednakowo wyraźnych centkach, to pierwszeństwo przyznamy okazowi o lepszych centkach.

Opierając się na powyższych wyjaśnieniach, uważam za celowe zastąpienie określenia „punkty przyznane za centki" przez — „punkty przyznane za rysunek skóry", przyczem wchodziłyby w grę albo same centki, albo pręga grzbietowa plus centki — zależnie od odmiany. Wystarczyłoby przytem stopniowanie od 0—5%.



Z drzeworytu art. mal. J. Kirilenki.

Pozatem dodatkowo należy wprowadzić, mojem zdaniem, przyznawanie od 0—5% za u b a r w i e n i e skóry, czyli za podstawowy koloryt tła, który jest odmienny u różnych odmian, przyczem podstawowe barwy są następujące: 1) rysie wschodnio polskie są szaro-płowe, 2) rysie z północnej Wileńszczyzny — popielate (im jaśniejsze, tem lepsze), 3) rysie karpackie — szarawo ochrowe lub nieraz ochrowe. Wszystkie te barwy dotyczą szaty zimowej. Sumarycznie punkty za piękno skóry byłyby zatem przyznawane od 0—10%, na czem znacznie zyskałyby trofea o jaskrawszym rysunku i ładniejszem ubarwieniu tła.

4) Przyznawanie od 0—10% za bokobrody jest, mojem zdaniem, nieuzasadnione; wystarczyłoby zupełnie stopniowanie od 0—5%, ponieważ obecność lepszych lub gorszych bokobrodów jest związana z płcią (dymorfizm płciowy, poza okazalszemi bokobrodami i wielkością, przejawia się również w intensywniejszem ubarwieniu skóry samców). Wpływ rysunku i ubarwienia skóry na wynik oceny powinien być bezsprzecznie znacznie większy, niż wpływ jakości bokobrodów, którą w dodatku trudniej jest ustalić i sprecyzować.

Jak z powyższego wynika, sumarycznie „c", po tej dokładnej analizie, przedstawiałoby się następująco:

1) za regularność i gęstość uwłosienia i długość włosa	0—5%
2) za wąsy i pędzelki na uszach	0—5%
3) za rysunek skóry	0—5%
4) za ubarwienie tła	0—5%
5) za bokobrody	0—5%
Razem	0—25%

Powracając do części pomiarowej, proponuję wprowadzić jedną zasadniczą zmianę, powodującą zmniejszenie wpływu wymiaru b_1 (szerokości skóry w najwęższem miejscu) na wynik ostateczny. Jakość naturalną trofeum obrazuje jego długość „a", szerokość b_2 — czyli rozpiętość przednich łap, obrazującą zarazem wysokość w kłębie, oraz nieuwzględniona w formułce w y s o k o ś ć o k a z u w k r z y ż u, względnie r o z p i ę t o ś ć t y l n y c h ł a p. Właśnie wprowadzenie do formułki pomiarów tej rozpiętości uważam za bardzo wskazane. Czynnikiem odźwierciadlającym zarówno naturalną jakość trofeum, jak i sposób jego wyprawienia, pozostanie nadal wymiar b_1, wpływ którego będzie jednak znacznie złagodzony przez wprowadzenie do wzoru wymiaru b_3 (rozpiętość tylnych łap), przyczem mierzyć należy odległość od pazurów jednej łapy do pazurów drugiej, również prostopadle do osi ciała (linji grzebietowej), jak przy pomiarze rozpiętości przednich łap (patrz rys.). Zmodyfikowana część pomiarowa formułki będzie zatem przedstawiać się następ.: $a \cdot \frac{(b_1 + b_2 + b_3)}{300}$

Zaznaczę odrazu, że wprowadzenie pomiaru rozpiętości tylnych łap będzie miało znaczenie tylko przy premjowaniu trofeów, zaś przy ustalaniu właściwości różnych odmian wystarcza zasadniczo pomiar długości (ewentualnie rozpiętości przednich łap) oraz dokładny opis rysunku i ubarwienia skóry.

Oprócz zasadniczych zmian w wyrazie „c", które opisałem poprzednio, uważam za wskazane wprowadzenie nowego czynnika — oznaczmy go literą „d" — umożliwiającego sędziom potrącanie pewnej ilości punktów za usterki, względnie dodawanie punktów za specjalne walory.

Proponuję ustalić „d", jako ilość od 0—5 punktów, które potrącałoby się według uznania sędziów przy:

1) wadliwem spreparowaniu głowy i skóry;

2) drobnych uszkodzeniach skóry, jak np. brak jednego z pędzelków, części wąsów, lekkiem zniszczeniu skóry przez mole.

Dodawałoby się od 0—5 punktów przy:

1) wyjątkowo umiejętnem i starannem spreparowaniu głowy i skóry.

2) wyjątkowo dobrym stanie skóry, świadczącym o troskliwem i umiejętnem jej przechowaniu.

Reasumując wyżej wyszczególnione uzupełnienia, proponuję ustalenie formułki dla rysia w postaci następującej:

$$a \cdot \frac{(b_1 + b_2 + b_3)}{300} + c\,(0 - 25\%) + d\,(0 - 5\%),$$

w której (p. ryc. 1)

a—długość skóry, jak poprzednio;

b_1—szerokość minimalna, jak poprzednio;
b_2—rozpiętość przednich łap, jak poprzednio;
b_3—rozpiętość tylnych łap;
c (0—25%) — patrz wyżej;
d (0—5 punktów) — potrącenia za usterki lub dodatki za walory.

Z kolei rozpatrzymy teraz pozostałe formułki oceny skór. Zaczniemy od formułki oceny skór żbiczych, jako najbardziej zbliżonej do wyżej omówionej. Co do części pomiarowej — prawie identycznej z częścią pomiarową w formułce dla rysia $a.\frac{(b_1+b_2)}{200}$ uważam, że należałoby ją uzupełnić z tych samych, jak w odniesieniu do rysia, względów wprowadzeniem pomiaru rozpiętości tylnych łap „b", a zatem przekształcić formułkę w następujący sposób: $a.\frac{b_1+b_2+b_3}{300}+c$, w której a — długość od końca nosa do nasady ogona, b_1—szerokość skóry w najwęższem miejscu, b_2—rozpiętość przednich łap mierzona od pazurów, prostopadle do linji grzbietowej, b_3—rozpiętość tylnych łap, obrazująca wysokość w krzyżu oraz c od 0—25%.

W części szacunkowej formułki „c" proponuję wprowadzić następującą modyfikację:

1) za długość ogona i liczbę czarnych pierścieni na nim pozostawić bez zmiany przyznawanie od 0—10%;
2) za bokobrody pozostawić bez zmiany 0—5%;
3) za długość włosa i regularność uwłosienia 0—5%;
4) za jaskrawość i piękno ubarwienia 0—5%;

zamiast przyznawania od 0—10% tylko za wymienione w p. 3 walory, ponieważ na wysokość oceny powinno wpływać także oszacowanie rysunku i barwy.

Proponuję także wprowadzić czynnik „d", ujmujący potrącenia za usterki, względnie punkty dodatkowe za dobre spreparowanie i konserwację w ilości 0—5 punktów, jak przy rysiu.

Formułka oceny skór wilczych, która obecnie przedstawia się następująco:

$\frac{ab}{100}+c$, gdzie „a"—przedstawia długość od końca nosa do nasady wiechy „b"—szerokość w najwęższem miejscu, „c"—wynoszące od 0—25% części pomiarowej składa się z 0—10% za długość włosa, 0—10% za gęstość i regularność owłosienia i 0—5% za szerokość grzywy, wymaga również szeregu modyfikacyj. Przedewszystkiem w części pomiarowej zupełnie nieuzasadnione jest pominięcie pomiaru rozpiętości przednich kończyn, którą wprowadzono do formułki rysia i żbika. Poprzestanie na pomiarze skóry w najwęższem miejscu nie odtworzy, rzecz jasna, wszystkich właściwości trofeum. Wobec tego uważam za konieczne zastosowanie przy skórach wilczych tych samych pomiarów, jakie proponuję wprowadzić do formułki dla rysia, a więc pomiar długości—a (przy wilku od końca nosa do nasady ogona), pomiar szerokości skóry w najwęższej miejscu b_1, pomiar rozpiętości przednich łap (od końca pazurów) b_2 i pomiar rozpiętości tylnych łap—b_3.

Pozatem z niewiadomych przyczyn przy ocenie skór wilczych zupełnie zostały pominięte jakość i wymiary wiechy (uwzględnione przy żbiku!), co niewątpliwie winno wpływać na ocenę trofeum. Wobec powyższego w części szacunkowej formułki proponuję wprowadzić następujące zmiany:

1) za długość włosa przyznawać zamiast od 0—10%, tylko od 0—5%;
2) za regularność i gęstość uwłosienia, zamiast od 0—10%, również tylko 0—5%;
3) za szerokość i piękno grzywy pozostawić od 0—5%;
4) za długość i jakość (puszystość i kształt) wiechy przyznawać od 0—5%;
5) za ubarwienie i rysunek (np. pręgi na grzbiecie) od 0—5%;

czyli w sumie „c" będzie wynosić jak poprzednio od 0—25%.

Uważam za nieodzowne wprowadzenie czynnika „d" — potrąceń za usterki lub dodatków za walory w ilości od 0—5 p, jak przy rysiu. A zatem formułka oceny skór wilczych zewnętrznie upodobni się do formułki dla rysia i żbika $a.\frac{(b_1+b_2+b_3)}{300}+c\pm d$. Punktacja odpowiednio się przesunie, gdyż sumaryczna ilość punktów będzie zawsze większe ze względu na wprowadzenie pomiarów b_2 i b_3.

Formułka oceny skór niedźwiedzich, struktoralnie identyczna z formułką dla wilka i różniąca się od niej wielkością „c", która przy niedźwiedziu wynosi od 0—30% $\frac{ab}{100}$, w części pomiarowej powinna być, mojem zdaniem, przekształcona w ten sam sposób, jak formułka dla wilka, tembardziej, że przy niedźwiedziu wysokość okazu w kłębie i w krzyżu odgrywa rolę pierwszorzędną i obrazuje dokładnie jakość trofeum, czyli, jak to Niemcy określają, jego „Wucht". Co się tyczy części szacunkowej „c", która się składa z następujących czynników:

1) długość kudłów 0—10%;
2) regularność uwłosienia 0—10%;
3) połysk i gęstość futra 0—10%;

to, mojem zdaniem, nie nasuwa ona żadnych zastrzeżeń.

Reasumując powyższe, zaznaczyć trzeba, że po wprowadzeniu do formułek dla rysia i żbika pomiaru b_3 a dla wilka i niedźwiedzia pomiarów b_2 i b_3, punktacja odpowiednio przesunie się w górę, a zatem klasyfikacja trofeów musi się oprzeć na innych odstopniowaniach, niż przy formułkach bez tych uzupełnień.

Wobec tego, dla zorjentowania się na jaką nagrodę zasługuje jakieś nowe trofeum, trzeba pomierzyć według formułki zmodyfikowanej trofea nagrodzone na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie medalami bronzowym, srebrnym i złotym i na tej podstawie ustalić nowe granice (najlepiej przytem wybrać trofea objęte dolną granicą premjowania na M. W. Ł. w Berlinie (patrz Kal. Myśl. z 1939 r.).

Po wprowadzeniu do formułek dla wilka i niedźwiedzia pomiaru b_2, można będzie stosować redukcję wymiaru b_1 przy okazach wypchanych, w sposób dokładnie opisany przy omawianiu formułki dla rysia.

Kończąc te rozważania i propozycje, zwracam się do PP. Kolegów Myśliwych z uprzejmą prośbą o wypowiedzenie się w poruszonej w niniejszym artykule kwestji i o nadesłanie swoich cennych uwag.

INŻ. W. LINDEMANN von FALKENAU.

W WAŻNEJ SPRAWIE DROPIA

Jak słusznie podkreśla prof. J. Gieysztor w swojej recenzji w Nr. 5 „Ł. P." z r. b., rozprawa doc. dra J. B. Sokołowskiego*), wypełniła dotkliwą lukę w naszem piśmiennictwie łowieckiem. Co więcej, jestem przekonany, że wielu towarzyszy z pod znaku św. Huberta poza ogólną świadomością, że dropie istnieją na terenie Rzeczypospolitej, wogóle do chwili ukazania się tej pracy nie było poinformowanych, iż ten cenny relikt ongiś na terenie Polski panującego klimatu stepowego, szeroko występował, a nawet obecnie jeszcze występuje w całym szeregu miejscowości, rozsianych i w innych okolicach, jak zachodnia Polska.

Odsyłając zainteresowanych do innych ciekawych szczegółów tego tak cennego wydawnictwa Państwowej Rady Ochrony Przyrody, pragnąłbym tu podkreślić przedewszystkiem dokładne wniknięcie Doc. Sokołowskiego w biologję tego pod wielu względami tak osobliwego ptaka oraz przedstawić nasuwające się pewne dalsze wnioski. Jak się okaże z poniższego, są one ważne nietylko ze względu na ochronę *sensu stricto*, lecz i z łowieckiego punktu widzenia.

Otóż faktem stwierdzonym przez doc. Sokołowskiego tak na podstawie przeprowadzonej ankiety, jak i długoletnich obserwacyj własnych, drop, jako zwierzę przynależne do fauny stepowej i bogatych stosunkowo gleb, cofa się i to na całym terenie swojego zasięgu w Polsce. Zdołał on wprawdzie zrezygnować z ongiś istniejącego, pierwotnego, głuchego stepu, zadowalając się większemi łanami — wymaga jednak jednej rzeczy bezwzględnie, t. j. spokoju. Tego ostatniego dać mu nie mogą pola włościańskie z poruszającemi się na nich niemal jak rok długi, prawie codziennie, ich właścicielami lub bydłem.

Z pracy tej wynika, że drop jest ptakiem bardzo wiernym swojemu środowisku, t. j. zamieszkuje on w ciągu roku całego, zależnie od przeprowadzanych upraw, te same pola. Pewien wyjątek stanowią tu nieliczne zresztą stanowiska dropia na północy Polski, gdzie, jak wykazuje Sokołowski, jest on ptakiem odciągającym na zimę. Nieoględna parcelacja majątków ziemskich, w których stale przebywają dropie, obejmująca pola, na których one żyją wraz z ich biotopem, powoduje, jakby jednem pociągnięciem pióra, skreślenie dalszego z nielicznych stanowisk dropia.

Jak wynika ze styczniowego numeru Kwartalnego Biuletynu Informacyjnego Biura Delegata Ministra dla Spraw Ochrony Przyrody, taki wypadek zaszedł ostatnio w majątku Sarbinów w Wielkopolsce, posiadającym od lat strzeżone i pielęgnowane gniazdowe stanowiska dropia. Wyłączenie paru pól więcej, z włączeniem ich, t. j. tych, na których od lat obserwowano dropie gnieżdżące się, i stworzenie z pozostawioną i tak ustawą o reformie rolnej „resztkówki", pozwoliłoby te stanowiska dropia zachować na przyszłość i ocalić je od zagłady.

Aczkolwiek obecne prawo łowieckie postanawia całoroczną ochronę dropia, myślę, że odpowiedzialność za dalszą ochronę i uratowanie tego ptaka, największego bodaj z krajowych i najwspanialszego, powinni podzielić ze sobą przyrodnicy i myśliwi. Mam wrażenie, że, podobnie jak przy innych gatunkach naszych rzadszych i cenniejszych zwierząt łownych, tak i tu w odniesieniu do dropia, nowopowstała Sekcja Ochrony Dropia przy P. Z. Ł. (ewent. przy Wielkopolskim Związku Myśliwych) mogłaby niezmiernie wiele pożytecznego zdziałać. Na podstawie zdania fachowców skupionych w takiej Sekcji Ochrony Dropia — Polski Związek Łowiecki mógłby np. w wypadku wyżej zacytowanym wypowiedzieć swoje ważkie słowo wobec władz agrarnych i t. p. i zapobiedz zniszczeniu siedliska. Jestem pewien, że, gdyby do podejmowanych z innej strony wysiłków P. Z. Ł. dołożył i swoje ważkie słowo, wiele mogłoby być zrobione. Pisząc to i rzucając taką myśl, żywię nadzieję, że kompetentne nasze czynniki podejmą w czasie niedalekim rzuconą inicjatywę.

Doszedłszy do tego punktu naszych rozważań, pragnąłbym poruszyć inną ściśle z tem związaną kwestję, równie ważną, jeśli idzie o ratunek dropia na naszych ziemiach. Jest nią dozwolenie prawa indywidualnego odstrzału w wypadkach zasługujących w zupełności na uwzględnienie, oczywiście tylko w takich razach, w których istniejąca Sekcja Ochrony Dropia, czy też inny równie kompetentny czynnik, mogłyby stwierdzić, że, dzięki wieloletniej pracy i ochronie ze strony właściciela łowiska, stan dropia podniósł się o tyle, że ściśle pod względem czasu i ilości sztuk ograniczony odstrzał, bez straty dla ogólnego stanu, mógłby być przeprowadzony.

Przykłady, jakie nasuwają się nam z wydatnej poprawy stanu łosi i niedźwiedzi, gdzie tego rodzaju postępowanie wprowadzono, przemawiają za analogicznem postawieniem kwestji z dropiem.

Można stwierdzić śmiało, że dziś istnieją szerokie koła łowieckie, wkładające wielkie wysiłki w ochronę rzadszych gatunków zwierza. Słuszną jest rzeczą, jeśli po kilku latach owocnej pracy przyznaną zostanie im nagroda w postaci odstrzału 1—2 sztuk rocznie na danym większym obszarze. Mam wrażenie, że, gdyby powstała wspomniana Sekcja Ochrony Dropia, to dyskusja z przyrodnikami nie natrafiłaby na wielkie trudności, tylko dałaby pozytywne rezultaty dla sprawy. A o nią przedewszystkiem chodzi.

Prof. Dr KAZIMIERZ WODZICKI

---

*) Jan Sokołowski, Drop (*Otis tarda* L.) w Polsce. Państwowa Rada Ochrony Przyrody Nr 51, Kraków 1939. Ze względu na ciekawy charakter tej pracy, powinna ona znaleźć się w wydawnictwach sprzedawanych za pośrednictwem Administracji naszego pisma.

CECHOWANIE BRONI

BROŃ BELGIJSKA

Belgijski przemysł broniowy jest w pełnem znaczeniu tego słowa przemysłem narodowym.

Bogactwa naturalne kraju dastarczają obficie doskonałych surowców, a szeroko rozwiniętych przemysł hutniczy oraz doskonały i tańszy od angielskiego robotnik, pozwoliły już w przeszłości stworzyć podwaliny przemysłu broniowego.

Z dawien dawna przemysł belgijski dostarczał broni, tak wojennej jak i myśliwskiej, rozmaitym państwom. W roku 1863 powstańcy polscy byli uzbrojeni w broń myśliwską oraz nieliczne, zresztą przemycane z wielkiem niebezpieczeństwem karabiny wojskowe belgijskie.

Na rynku polskim, tak przed- jak i powojennym, bronie belgijskie są szeroko znane, a mianowicie wszelkiego rodzaju bronie śrutowe i kulowe najwyższej jakości, które zresztą do dziś dnia bardzo skutecznie konkurują z bronią angielską i niemiecką. Oprócz tych broni są znane bronie tańsze kulowe, śrutowe samoczynne oraz wszelkiego rodzaju broń małokalibrowa.

Najbardziej znaną belgijską fabryką broni jest słynna Fabryka Narodowa — Fabrique Nationale d'Armes de Guerre Herstal-Lez-Liège, Belgique.

Fabryka ta wypuszcza w pierwszym rzędzie broń wojskową, jak już sama nazwa wskazuje. Z broni myśliwskiej wyrabia naogół tańsze dubeltówki „bockflinty" oraz cały szereg broni samoczynnych kulowych i śrutowych, według patentu Browninga.

Bronie Fabryki Narodowej są znane w całym świecie i stanowią doskonałą broń użytkową, dzięki swej niewysokiej cenie.

Poza Fabryką Narodową wyrabiają bronie rozmaite wytwórnie, które przeważnie znajdują się w Liège. Wytwórnie te wypuszczają doskonałe bronie myśliwskie, (przeważnie) dubeltówki i sztucery dubeltowe.

Najbardziej znane wytwórnie są: Auguste Lebeau, G. Defourny Sevrin, H. Delrez, Stassart, A. Forgeron, A. Francotte, Lepage, Paul Scholberg i wiele innych, tu niewyszczególnionych.

Jednym z zasadniczych powodów ogromnego wprost powodzenia broni belgijskiej jest jej bardzo wysoki gatunek, a stosunkowo niska cena, w porównaniu z broniami angielskiemi. Chociaż ceny strzelb najprzedniejszych wytwórni belgijskich idą w tysiące złotych, jednak pomimo to ustępują one znacznie wyższym jeszcze cenom angielskim. Pod względem dobroci i wytrzymałości broń belgijska wyższych gatunków jest znakomita i zyskała dzięki temu zupełnie zasłużoną opinję w całym świecie.

Wytwórnie belgijskie często korzystają z surowców zagranicznych angielskich lub niemieckich, szczególnie jeśli chodzi o wyrób broni wysokiej klasy. Mam tu na myśli używanie luf Whitwortha lub też Siemens Martina, które można spotkać w droższych broniach.

Cechy na broni belgijskiej są stawiane przez zakład przystrzeliwania broni w Liège i są jednolite dla całego kraju.

1. — tymczasowe znaki przystrzeliwania.
2. E LG — ostateczny znak przystrzeliwania na lufie.
3. — ditto tylko na zamku.
4. E LG — (bez korony) dotyczy broni przystrzeliwanej jeszcze przed r. 1893
5. R — lufy dla kul.
6. P. V. — przystrzeliwanie prochem bezdymnym. Litery pod lewkiem wskazują rodzaj prochu, np. P. V. oznacza poudre vive (proch bezdymny).
7. E. C. — przystrzeliwanie prochem. Litery pod lewkiem oznaczają proch bezdymny angielski.
8. Choke — czok.
9. 12 C — kaliber dla broni śrutowej.
10. E LG P. V. — Przykład cechowania strzelby belgijskiej — 2,5 g Poudre 33 g Plombs D $= \frac{17}{18,7}$ P 1 K 173,5 $\frac{16,4}{17}$ oznacza: strzelba była przystrzeliwana w Liège i to ładunkiem wzmocnionym prochem angielskim 2,5 g. i 33 g. śrutu D (diametr) = średnica komory nabojowej wynosi 18,7 mm a długość 70 mm. P 1 K 173,5 oznacza wagę lufy: P 1 kg. 173,5g; $\frac{16,4}{17}$ oznacza kaliber lufy, licznik—przy końcu lufy, a mianownik—22 cm od końca komory nabojowej.

W przemyśle broniowym belgijskim, tak jak w żadnym może innym, nie uwidoczniają się różnice między bronią wypuszczaną masowo na rynek przez ogromną fabrykę, a bronią wytwarzaną przez mniejsze wytwórnie. Wytwórnie te, zatrudniające doskonałych inżynierów specjalistów oraz majstrów, wyrabiają niewiele stosunkowo broni, ale za to pierwszorzędnej.

Belgja przoduje w Europie w wyrobie broni samoczynnej, tak kulowej jak i śrutowej. Broń ta jest stosunkowo niedroga i cieszy się dobrą opinją. Jak niskie są ceny broni na rynku belgijskim, świadczy to, że ceny te wynoszą prawie połowę cen rynku polskiego.

Poza użytkową bronią myśliwską, wytwórnie belgijskie wyrabiają cały szereg broni tarczowych długich i krótkich, też zwanych szeroko w świecie. Wyrobem tym trudni się wytwrónia A. Francotte.

Najbardziej znane wytwórnie A. Lebeau i G. Defourny Sevrin wyrabiają znakomite sztucery dubeltowe, częstokroć dostosowane do nabojów angielskich. Te sztucery dubeltowe są u nas dosyć rozpowszechnione. Pozostałe wytwórnie wykonują przeważnie bronie śrutowe.

Bronie belgijskie, szczególnie droższe, poza ich wartościami konstrukcyjnemi i batalistycznemi, posiadają bardzo piękną linję i nadzwyczaj gustowny grawerunek. Bronie belgijskie — rzec można — harmonijnie łączą w sobie solidność angielską z wytwornością francuską.

Broń belgijska idzie, jako broń klasowa, bezpośrednio po broni angielskiej, a w wielu wypadach zupełnie jej nie ustępuje.

(C. d. n.) BROCHWICZ

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. JERZY ŚCIGALSKI

W pierwszych dniach marca r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Jerzy Ścigalski, długoletni członek Komisji Rewizyjnej Polskiego Związku Łowieckiego, zamiłowany myśliwy.

Rodzinie Zmarłego wyrazy szczerego współczucia w ciężkiej żałobie składają tą drogą

Komitet Wykonawczy P. Z. Ł.
Redakcja „Łowca Polskiego“.

Ś. P. JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI.

Dnia 5 marca b. r. zmarł we Lwowie w 78 roku życia ś. p. Prof. Jan Gwalbert Pawlikowski, znakomity uczony, poeta, krytyk literacki, socjolog, ekonomista, polityk, rolnik, miłośnik Tatr i wielki entuzjasta oraz gorący orędownik i rzecznik idei ochrony przyrody. Idei tej poświęcił wiele lat żmudnej pracy organizacyjnej, literackiej i naukowej. Pisząc o ochronie przyrody, poruszał często tematy łowieckie. Praca jego p. t. „Prawo ochrony przyrody“ (Kraków 1927) powinna znaleźć się w każdej bibljotece myśliwskiej. O ochronie zwierzyny łownej pisał w tej pracy m. in.:

„W przepisach o ochronie zwierząt wreszcie bardzo ważną jest rzeczą należyte unormowanie sankcji karnych, gdyż lekkie kary zwyczajnie nie odstraszają, a przy ustanowieniu szerokich granic w wymiarze kary bardzo często spotkać się można z faktem małego zrozumienia karygodności czynu u sędziów i stosowania przeto wymiarów możliwie najniższych“.

Gniazdem rodzinnem ś. p. J. G. Pawlikowskiego była historyczna Medyka pod Przemyślem, w której król Władysław Jagiełło, słuchając śpiewu słowików, przeziębił się śmiertelnie. Jednak zwłoki ś. p. Zmarłego spoczęły wśród umiłowanej przyrody górskiej, na starym cmentarzu w Zakopanem. A muzyka góralska zagrała Mu na pożegnanie rzewne „Nuty góralskie“.

Cześć pamięci wielkiego pioniera kultury narodowej!

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI

Ś. P. DR MED. FRANCISZEK KMIETOWICZ, Snj.

Wśród mroźnej zimy styczniowej szedł ulicami Krynicy olbrzymi kondukt pogrzebowy. Cała Krynica i ludność jej okolic skadała na wieczny odpoczynek zwłoki tak bardzo zasłużonej dla miasta, niespotykanym szacunkiem otaczanej i popularnej osobistości, ś. p. doktora Franciszka Kmietowicza, seniora. Przestało bić najszlachetniejsze serce, złote serce Polaka-patrjoty, ojca i społecznika. Czterdzieści siedem lat praktyki lekarskiej na miejscu, w Krynicy Zdroju, to spory kawał czasu, ale też i długa litanja zasług pomocy w niesieniu ulgi nietylko zamożnym, którzy tu zjeżdżali, by ratować nadwątlone zdrowie, ale też licznej miejscowej i okolicznej ludności ubogiej, której budżet nie przewidywał nigdy wydatków na pomoc lekarską. Tam przy nich było zawsze dobrotliwe i samarytańskie serce ś. p. Zmarłego, cenionego lekarza i wielkiego filantropa.

Krynica ma Mu wiele do zawdzięczenia. Dobre jej imię, jako zdrojowiska, spopularyzował w swoich ośmiu drukowanych pracach. Twierdził zawsze, że „Polska, jeśli chce mieć zdrowych i dzielnych obywateli, powinna ochraniać i popierać zdrojowiska i uzdrowiska, by ludność nie karlała“. Pomnik K. Puławskiego, bohaterskiego wodza konfederatów barskich, którzy walczyli w okolicach Krynicy, to także dorobek jego wzniosłego ducha.

Ś. p. Zmarły był też wielkim miłośnikiem przyrody i chorążym w szeregach św. Huberta. Prezes Kółka Myśliwskiego w Krynicy. Myśliwy o wysokiej kulturze i etyce, cierpiał, gdy widział choćby drobne jej uchybienia, monitował każdego, a siwy nadto włos jego dawał mu pełne prawo ku temu. Znał nawkroś lasy krynickie, od wczesnej młodości, znał ich faunę. Pamiętał ostatnie wilki w tych stronach, które w 1885 roku napadły we wsi Mochnaczce na owce i dużo ich wydusiły. Szczegółowo opisał tę faunę w ostatniej swej broszurze, wydanej w 1936 r. pt. „Z Podkarpacia Zachodniego“. Tutaj — pisząc o Krynicy — dał następujący wyraz swej miłości ku matce — przyrodzie:

„Piękno gór tej polskiej Szwajcarji nie da się słowami opisać. Widoki wspaniałe, zachwycające, ściągają i ściągać będą zawsze tych, którzy przyrodę ukochali. Kto bowiem ją poznaje i w nią się wczuwa, staje się człowiekiem szlachetniejszym. Ukryte w niej odwieczne prawa są niedoścignione, wiedza zaś ludzka, choćby najwyższa, musi się przed nią ukorzyć“.

Muzeum im. hr Dzieduszyckich we Lwowie, które zwiedził 1894 r., jakże piękny odgłos wywołało w sercu ś. p. Zmarłego. Począł odtąd gromadzić w swej willi „Dewajtis“ okazy przyrodnicze, sam wypychał ptaki. Zbiór ten przekroczył 1000 sztuk przeróżnych eksponatów. Oglądałem je ze szczerym podziwem dla mrówczej pracy ś. p. Kmietowicza. Zbiór ten spełnia zastępczo zadania nieistniejących przy szkołach gabinetów zoologicznych, stojąc otworem dla młodzieży szkolnej.

Z lesistych gór, które otaczają Krynicę, spływa nad świeży grób małego cmentarza krynickiego poszum jodeł: ciągła pieśń pożegnania żalu i tęsknoty za Tym, który miał serce dla wszystkich: dla ludzi, fauny, i dla tych jodeł.

Cześć jego świetlanej postaci!

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Piękny dzień myśliwych w Kowlu

Dzień 12 marca b. r. miał dla myśliwych powiatu kowelskiego wyjątkowo doniosłe znaczenie. W dniu tym bowiem na zew Powiatowej Rady Łowieckiej przybyli członkowie Polskiego Związku Łowieckiego na Walne Zgromadzenie. Po załatwieniu normalnych punktów porządku dziennego wraz ze sprawozdaniami, p. Madejski, wiceprezes Wołyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, wygłosił referat pełen głębokich myśli, rzeczowy i treściwy, pt. „Czem jest zwierzyna łowna dla człowieka i jak należy dążyć do jej rozwoju". Referat, opanowany całkowicie przez prelegenta, wywołał wśród zebranych gorące oklaski. W wolnych wnioskach, które nastąpiły po wyborze członków Powiatowej Rady Łowieckiej i delegata na Walne Zgromadzenie, poruszono sprawy: nowelizacji ustawy, wybierania jaj przez pastuchów, szkód wyrządzonych przez włóczące się po polach psy, statystyki łowieckiej, propagandy wśród młodzieży szkolnej na rzecz łowiectwa i inne.

Po zamknięciu obrad przez Łowczego Powiatowego dra S. Doganowskiego obecni, w ilości ponad 40 osób, udali się do lokalu Resursy Obywatelskiej, celem obejrzenia pierwszego regjonalnego, powiatowego pokazu trofeów łowieckich, przed Wszechwołyńską Wystawą Łowiecką. Wystawę tą organizuje Wojewódzka Rada Łowiecka w Łucku we wrześniu 1939 r. podczas Targów Wołyńskich w Równem.

Otwarcie tego trzydniowego pokazu miało charakter wybitnie łowiecki: Bolesław Schulc, adjunkt przy leśnictwie w Dolsku, odegrał na waltorni pobudkę myśliwską, poczem przedstawiciel starostwa, inż Wronowski, przeciął nożem myśliwskim sznurek z fladrami, który zastąpił wstęgę. Jeszcze apel myśliwski na trąbce i rozpoczęło się zwiedzanie pokazu. Objął on, z małemi wyjątkami, trofea i eksponaty powiatu kowelskiego, pomieszczone w dwóch salach.

Przejdźmy pokolei umieszczone tu okazy. Zwierzęta ssące: kły dzicze, oprawna głowa dzika i pięć skór dziczych, parostki i głowy kozłów, rogi ubitych łosi: łopataczy i badylarzy oraz zrzuty tych mieszkańców dawnych lasów kowelskich, klucza Dolsko-Turzyskiego, 6 ładnych skór wilczych, jeleń ze Sławuty tudzież tyka jelenia wyciągnięta niewodem z jeziora przy wsi Kustycze, gm. Turzysk, pow. Kowel.

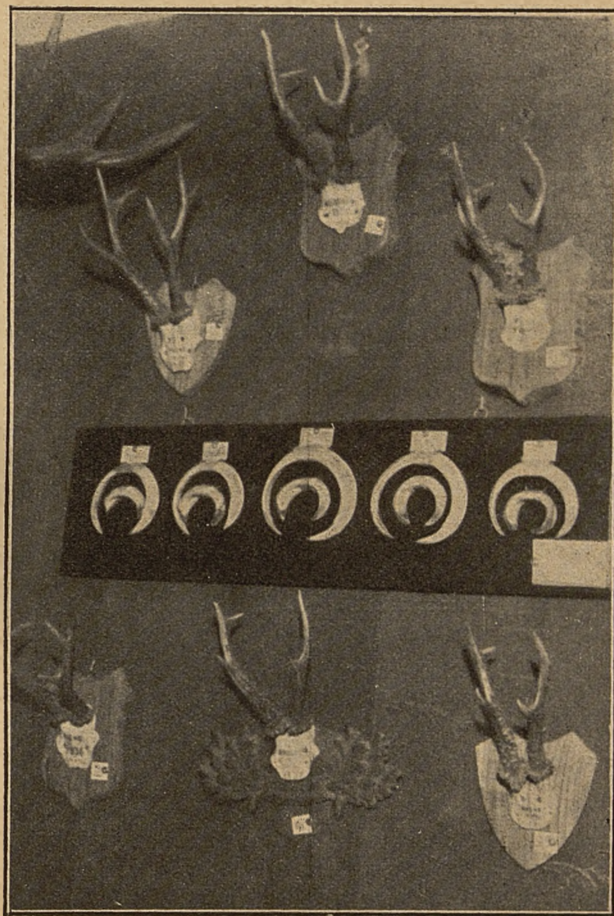
Bogato był tu reprezentowany świat ptasi: orły przednie, gołębiarze, krogulce, pustułki, puhacz, myszołowy, błotniaki: zbożowy i bagienny, kania, kruk, bociany czarne, głuszce, cietrzewie, kuropatwy, czaple bąki, bataljony, kulony, słonki, perkozy, mewy, dzikie kaczki: krzyżówki, cyranki, cyraneczki, podgorzałki, czernice, płaskonos, lodówka oraz świstun.

Pokaz ten miał tę także jeszcze dobrą stronę, że odsłonił rąbek ciemnej plamy, utrapienia naszej gospodarki łowieckiej, tj. kłusownictwa. Hr. Rzyszczewski dał całe stoisko wnyków i sideł, jakie odebrała jego straż łowiecka w latach 1925 — 1938, razem 2.900 sztuk. To potworna cyfra! Na jednym z tych przykrych eksponatów widzimy kartkę z napisem: „Sidła na kuropatwy przez strzelca Jana Prohaskę od kolonisty Michała Kostrzewskiego na Julianowie 14.II.1929. Rewizja odbyta ujawniła: a) nieprawne posiadanie broni myśliwskiej, b) 2 sidła na kuropatwy, c) skład tytoniu na strychu, d) 4 żywe kuropatwy".

Zademonstrowano też na pokazie krzaki i pnie drzew z uwiązanemi wnykami, na jednym z nich miał schwytać się dzik. Dla pouczenia zwiedzających rozmieszczono kartki, które głosiły: „Każde spostrzeżenie wnykarstwa lub sidlarstwa podać do wiadomości najbliższym organom Policji Państwowej lub straży łowieckiej".

Majątek Dolsk wystawił łapki-samotrzaski używane w hodowli łowieckiej. Ciekawą była konstrukcja zimowego trójkątnego łapaka na bażanty i kuropatwy. Ptaki te, chwytane w miejscach podkarmiania, przechowuje się przez zimę, aby na wiosnę zasilić parami łowisko w odpowiednich miejscach. Mieliśmy też samotrzaski ustawiane w remizach na gołębiarze, a jeden z nich w postaci dużego kojca pokazano z żywemi kurkami, jako przynętą.

Interesującą była kolekcja 11 par kłów dziczych p. Stefana Sumowskiego oraz gruby pień sosnowy, o który ocierał się dzik. Do dawnych myśliwskich pamiątek z ziemi wołyńskiej zaliczyć należy fotel i stół z 18 wieku, wykonany z ciekawie wydłużonych łopat i pasemek łosi, własność hr. Stadion Rzyszczewskiego.



Stoisko Inż. J. Kabzińskiego (maj. Rudno, pow. Kowel).

Poza wymienionymi już osobami do grona wystawców należeli: Bartoszewski Jan, Cholewa Józef, woźny wołyński, samouk — preparator, dr. Doganowski S, Gulińscy Aleksander i Włodzimierz, Kabziński Jan, Kosiński M., Krupa Mieczysław, Krupiński Teodor, Maksymowicz Józef, dr Mroczkowski Franciszek, Myzowiec Ignacy, dr Ratajski Witold i inż. Zawadzki Stefan.

Publiczność kowelska zainteresowała się bardzo żywo tą niezwykłą, a pierwszą w Kowlu imprezą, która doszła do skutku dzięki dobrej woli i zrozumieniu wartości pokazu przez myśliwych, tudzież dzięki usilnej pracy hr. Rzyszczewskiego i dra Doganowskiego. Pokaz ten, to chlubne świadectwo dojrzałości organizacyjnej, jak również poczucia solidarności myśliwych powiatu kowelskiego.

Kowel przeżył piękne święto łowieckie.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

Mistrzostwa świata 1939 r. w strzelaniu do rzutków

Prezes Międzynarodowej Federacji Strzelectwa Myśliwskiego, p. M. Faure, nie mając możności dotąd wyznaczenia ani miejsca, ani terminu Mistrzostw Świata na rok 1939, a to wobec pewnych zmian personalnych w reprezentacjach niektórych państw, i nie chcąc ponosić odpowiedzialności za tak znaczne opóźnienie, mogące uniemożliwić należyte przeprowadzenie tych zawodów, zwołał do Paryża na dzień 9 b. m. Walne Zgromadzenie M. F. S. M.

Na zebraniu tem reprezentowane były 19 państw, w tej liczbie i Polska w osobie p. Janusza Regulskiego, prezesa Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego.

Ze względów technicznych Polska zrzekła się mandatu organizacji Mistrzostw w roku bieżącym.

Belgja, która zgłosiła chęć zorganizowania tych zawodów z okazji Wystawy Międzynarodowej w Liège, nie uzyskała na to mandatu wobec sprzeciwu niektórych państw, wskazujących na zbyt słabe zainteresowanie tym sportem w ostatnich latach w Belgji.

W tym stanie rzeczy Walne Zgromadzenie przyjęło propozycję Niemiec, które podjęły się zorganizować Mistrzostwa Świata w Berlinie pomiędzy 13 i 19 sierpnia r. b., wyznaczając 165 nagród indywidualnych wartości 10.500 marek niem., oraz wpisowe do wszystkich konkurencyj wraz z kosztami przyjęć w sumie 120 mk. n. od zawodnika.

Rozegrane będą Mistrzostwa Niemiec, Europy i Świata, indywidualnie i zespołowo, łącznie w 500 rzutkach, po 100 dziennie.

Jednogłośnie przyjęto następujące wnioski, postawione przez delegata Polski:

1) Mistrzostwa Świata rozegrane będą w strzelaniu do 300 rzutków, a nie do 200, jak w roku ubiegłym. Wobec tego pierwsza i druga setka stanowić będzie Mistrzostwo Niemiec, druga i trzecia — Mistrzostwo Europy, trzecia, czwarta i piąta — Mistrzostwo Świata.

2) Każdy kraj ma prawo wystawić dwa zespoły, w których lepszy liczony będzie do Mistrzostw. Każdy zespół składać się będzie z czterech zawodników, przyczem do Mistrzostw będą brane pod uwagę najlepsze rezultaty trzech zawodników. W ten sposób przypadkowość rezultatów w znacznej mierze będzie usunięta.

3) Ustawianie maszyn przeprowadzone będzie przez Jury Mistrzostw, bezpośrednio przed otwarciem zawodów, co postawi tak zawodników miejscowych jak i zagranicznych w jednakowych warunkach. Pozatem związek niemiecki podjął się przygotować projekt przedstawowych warunków organizacji Mistrzostw Świata, a więc granic maksymalnych i minimalnych wagi rzutków, siły wyrzutu, kątów odchylenia i t. p. Normy te nie będą mogły być już zastosowane w roku bieżącym, a to wobec zbyt krótkiego czasu, jednakże najszybsze ich ustalenie ma duże znaczenie, gdyż umożliwi wprowadzenie rekordów oraz da podstawę porównawczą rezultatów poszczególnych zawodów.

Polsce przypada w tym roku zaszczyt obrony tytułu Mistrzowskiego Zespołu Świata. Nakłada to na nas obowiązek jaknajwcześniejszego rozpoczęcia przygotowań, usilnych treningów i dążenia z całą energją i poświęceniem do powtórzenia naszego zeszłorocznego sukcesu.

Podczas posiedzenia prezes Federacji p. Faure wręczył p. prezesowi Regulskiemu Złoty Medal Mistrza Świata, zdobyty w 1936 roku przez p. J. Kiszkurno.

Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego.

Sprawozdanie roczne z powiatu stryjskiego

Odbyte w lutym 1939 r. III Walne Zgromadzenie członków P.Z.Ł. z powiatu stryjskiego wykazało wielką żywotność organizacji i, jak zawsze, szczere a zarazem poważne dążenie do polepszenia jutra łowiectwa polskiego. Poza sprawami wyłącznie miejscowemi, zainteresowanie zebrania wyraziło się troską o treść przyszłej, nowej ustawy łowieckiej oraz niepokojem z powodu ustawicznej zwłoki co do wniesienia projektu do Izb ustawodawczych.

Ilość członków P.Z.Ł. wzrosła w okresie sprawozdawczym i wynosi obecnie 66 osób. Luzem pozostaje jeszcze ciągle, wytrwale, około 30 osób polujących. Opornych zaprosiłem na ostatnie Walne Zgromadzenie w złudnem, jak się okazało, przypuszczeniu, że środek ten będzie skuteczny, gdyż na zebranie nie przybyli. Widocznie zatem są to jednostki zupełnie obojętne dla społecznego życia łowieckiego, a może też wolą do Związku nie należeć, dopóki nie będą musieli, a to z uwagi na rygory dyscyplinarne.

Podobna obojętność cechuje i to już większą ilość myśliwych, nawet zrzeszonych, wobec czytelnictwa prasy i dzieł łowieckich. Ponawiany przy każdej sposobności apel do prenumerowania czasopism łowieckich nie znajduje oddźwięku, mimo przedstawiania ogromnych korzyści i niezaprzeczonej przyjemności, jakie dać musi każdemu myśliwemu nasze piśmiennictwo. W tym wypadku nie odgrywa już decydującej roli wzgląd finansowy, ale są głębsze przyczyny natury ogólniejszej, niewątpliwie posiadające swe źródło we właściwościach naszego charakteru narodowego.

S t a t y s t y k a za r. 1937/38, jako pierwsza próba w tym kierunku, wypadła stosunkowo dobrze, gdyż objęła 80% obszaru łowieckiego w powiecie. Trudności nastręczały działy II i III wykazów statystycznych i dlatego w tej materji bądź brak było odpowiedzi, bądź też podano liczby niedokładne.

T o w a r z y s t w a ł o w i e c k i e, dwa na terenie Stryja i dwa drohobycko-borysławskie, posiadające rewiry swoje w stryjskiem, utrzymują swój stan posiadania, lecz walczą z trudnościami co do równowagi budżetu, ze względu na nieuzasadnione wygórowanie czynszów dzierżawnych i znaczne wydatki na szkody wyrządzone przez zwierzynę. Wskutek tego nie mogą te towarzystwa prowadzić intensywnego gospodarstwa łowieckiego, co szczególnie ujemnie wpływa na wzrost zwierzostanu zajęcy i kuropatw, mimo bardzo oszczędnego ich odstrzału. W szczególności dotkliwym brakiem jest nieodpowiedni dobór straży łowieckiej. Wszelkie próby ze strony Powiatowej Rady Łowieckiej reorganizacji i przeszkolenia strażników łowieckich były bezskuteczne, właśnie ze względów finansowych.

S ą d y r o z j e m c z e dla spraw szkód łowieckich zostały nanowo obsadzone z końcem r. 1938. Na zebraniu ogólnem wszystkich nowomianowanych przewodniczących tych sądów wyjaśniłem wespół z Referentem łowieckim tut. Starostwa oraz Inspektorem samorządowym, jak mają członkowie sądów rozjemczych rozumieć i stosować postanowienia ustawy, tudzież jak pojmować swoje obowiązki sędziego-obywatela. Szczególny nacisk położyłem na wyzysk, stosowany przez właścicieli działek położonych w pobliżu lasów, którzy częstokroć stworzyli sobie wprost źródło utrzymania z orzeczeń o odszkodowania, oceniając je z reguły bezzasadnie lub nadmiernie. Wystarczy nadmienić, że dobra skolskie wypłaciły w ostatnim okresie za szkody 28.000 zł. Jest to kwota nawet w stosunku do obszaru tego łowiska bardzo znaczna i rzeczywiście trzeba wielkiej ofiarności materjalnej, ażeby w tych warunkach nietylko nie dążyć do wydatnej redukcji zwierzostanu, ale przeciwnie, dbać o jego utrzymanie.

U b i e g ł y o k r e s ł o w i e c k i nie odznaczył się żadnemi

wyjątkowemi zdarzeniami lub szczególnem spotkaniem, a można go nazwać bardzo pomyślnym dla zwierzyny. Wszelki zwierz bowiem nietylko nie był, tak skutecznie jak zwykle, prześladowany przez największego wroga — człowieka, ale uniknął też nieraz ciężkiej walki z naturą, t. j. z przeciwnościami klimatu; zwłaszcza w górach.

Na te warunki, sprzyjające bytowaniu zwierzyny, wpłynęła tegoroczna łagodna, a przedewszystkiem bezśnieżna zima. Wielu posiadaczy łowisk nie polowało w jesieni z powodu słot, czekając na lepszą pogodę i ostatecznie albo zaniechano zupełnie urządzenia polowania, lub też polowano po czarnej stopie. Brak śniegu, tego zdrajcy zwierzyny, a sprzymierzeńca myśliwego, przyczynił się walnie do małych pokotów, a szczególnie zwierzyny czarnej. Przystępując do opisu zwierzostanu ziemi stryjskiej, wedle hierarchji obowiązującej w kniei, zauważyć muszę, że większość powiatu to rewiry górskie lub podgórskie.

N i e d ź w i e d z i utrzymuje się stale liczba od 30 do 40; już w lutym opuściły one barłogi. W ostatnich czasach nie padł żaden niedźwiedź, mimo że w dobrach skolskich były przeznaczone do odstrzału dwie sztuki, na podstawie indywidualnego zezwolenia.

R y s i jest niewielka ilość, dokładniej nieokreślona z powodu niemożności częstego tropienia. Padły w jesieni dwa rysie, przypadkiem złowione w żelaza, przeznaczone na wilki.

W i l k ó w było i jest dotąd wyjątkowo znaczna ilość. Wskazywałoby to na wydatne rozmnożenie tego szkodnika. Mianowicie ogółem padło w ciągu zimy 1938/39 wilków 7. 11 marca r. b. otropiono w Smorzu, w pasie przygranicznym, 8 sztuk, lecz niestety uszły na skrzydle bez strzału. Widziano podobno zgraję złożoną z 16 sztuk. Szkody wyrządzone przez wilki, zwłaszcza w sarnach, są bardzo znaczne:

J e l e n i ilość ciągle wzrasta, lecz jakość dotychczas nie poprawiła się. Rykowisko ubiegłe było dosyć mdłe zarówno z powodu ciepła, jak i niepokojenia przez wilki. Największe nasilenie rykowiska było w dn. 26 września 1938 r. Ogółem padło dwadzieścia pięć byków, a w Skolszczyźnie na 185 punktów Nadlera (zeszłego roku 201 pkt). W ciągu zimy odstrzelono w Skolszczyźnie 180 łań i kilkanaście byków, wyraźnie do rozmnoży niezdatnych. O ile jeszcze na przedwiośniu nie spadną w górach śniegi, powinny mieć w tym roku jelenie pięknie wykształcone wieńce.

S a r n jest w powiecie dosyć i to prawie we wszystkich łowiskach leśnych. Parostki przeciętne. Nie padł, ani też nie był widziany, w ubiegłym sezonie żaden kozioł, którego poroże zasługiwałoby na miano kapitalnego. Stosunek płci ciągle nieodpowiedni, chociaż szczególnie sarny są przedmiotem przedsięwzięć kłusowniczych.

D z i k i wyszły z minionej kampanji najbardziej obronną ręką, składając daninę w ilości około 30 sztuk. Pozostało zatem conajmniej jeszcze 6 razy tyle, a o plenności świadczy okoliczność, że już dn. 27 lutego 1938 r. spotkałem dwie młode maciory prowadzące tegoroczne warchlaki, które miały już conajmniej tydzień żywota. Na pokocie przeważała płeć męska. Jedną lochę znaleziono niedawno rozdartą przez wilki.

Niewiele też ubito l i s ó w. Prawdopodobnie dlatego, że polowania odbywały się przeważnie w styczniu dopiero, t. j. w okresie cieczki i lisy odprawiały swoje gody weselne w norach.

B o r s u k, trudny do spotkania, mnoży się i przypuszczalnie wpływa to na zanik cietrzewi oraz zahamowany jest wzrost pogłowia głuszców i kuropatw.

Tych ostatnich jest stan średni.

G ł u s z e c tokuje tylko na szczytach, w Bieszczadach. Padło z rąk myśliwych tylko kilka na tokach.

C i e t r z e w i zbyt mało, by urządzały toki zbiorowe.

J a r z ą b k ó w widuje się obecnie trochę więcej. Strzelano przeważnie okolicznościowo.

G ę s i było w jesieni nieco mniej, niż przeważnie, ale zato dłużej przebywały, a jedno stadko zimowało w okolicy Stryja.

K a c z k i są coraz bardziej rzadkie, a zeszłoroczny posuszny okres lęgów nie przyczynił się do powiększenia ich ilości.

P r z e p i ó r k a, d u b e l t i c h r ó ś c i e l należą już do rzadkości w tych stronach.

B a ż a n t ó w niema ani na dziko, ani w hodowli. Od czasu do czasu zdarza się jakiś wędrowiec z pobliskiego powiatu żydaczowskiego.

Wreszcie najpospolitszy w nizinnej części powiatu z a j ą c utrzymuje się w stosunkowo średniej ilości, nie wykazując jednak tendencji do lepszej rozmnoży. Szkodniki czworonożne i skrzydlate są zbyt słabo tępione, co jest główną przyczyną małego przyrostu stanu zajęcy.

Co do pozostałych jeszcze w y d e r, t c h ó r z ó w i k u n, to jest ich niewiele, podobnie jak i ż b i k ó w, a wiadomości o ich bytowaniu i ubiciu trudno zebrać, gdyż z uwagi na cenne futro, a tak trudne do zdobycia, padają z ręki specjalistów-kłusowników. Ze skrzydlatych drapieżników należy wymienić, jako dość często stosunkowo występującą, sowę uralską.

Na zakończenie jeszcze słów kilka o sporcie strzeleckim w tutejszym powiecie. Otóż wymieniam z przyjemnością chwalebną inicjatywę Dyrekcji lasów skolskich i Pana Łowczego rejonowego inż. Misiołka, dzięki której odbyły się w Skolem w jesieni r. ub. zawody w strzelaniu do tarcz ruchomych (dzika i zająca) dla członków administracji dóbr skolskich. Zawodników stawiło się 14-tu. Wynik najlepszy do dzika—14 (na 25 możliwych) punkt., zaś do zająca 9 (na 10 możliwych). W grudniu ub. r. odbyło się premjowe strzelanie straży leśnej w Skolem (do dzika i lisa) przy udziale 50 zawodników.

Na wiosnę lub w lecie r. b. ma zamiar tutejsza Rada Łowiecka urządzić w Stryju większe konkursowe strzelanie myśliwskie, które byłoby zarazem eliminacyjnem na zawody narodowe.

Spodziewamy się, że ze względu na łatwą komunikację ze Lwowem (motorówką 58 min. jazdy) zdołamy pozyskać także zawodników z dalszych stron i już teraz najserdeczniej ich zapraszamy.

Dr. JANUSZ TRZCIENIECKI
Łowczy Powiatowy P.Z.Ł.

Ze Stowarzyszeń Związkowych

Z BRACTWA STRZELCÓW KURKOWYCH.

Walne doroczne Zgromadzenie Bractwa Strzelców Kurkowych w Warszawie odbyło się 1 marca r. b. Na wstępie zebrania uchwalono nadanie członkostwa honorowego bratu Tadeuszowi Koszutskiemu, jako współinicjatorowi wskrzeszenia Bractwa, długoletniemu jego skarbnikowi i ostatnio wiceprezesowi Zarządu. Wśród najważniejszych uchwał zasługują na wyróżnienie:

Podjęcie w r. b. budowy strzelnicy pistoletowej na 11 stanowisk, do tarcz stałych i sylwetkowych, koniecznej celem pełnego wykorzystania programu przysposobienia strzeleckiego. Bractwo wprowadza jednolite ubrania sportowe, obowiązujące przy wszystkich uroczystościach, obchodach i na strzelnicy. — Przy bractwie tworzy się sekcja Pań strzelających.

Celem przypomnienia mieszkańcom Warszawy starodawnego Bractwa odbędzie się w czerwcu r. b. obchód 525-lecia powstania *Fraternitas Sagittariorum* i 20-lecie wskrzeszenia Bractwa.

W skład nowego Zarządu wchodzą: Prezes b. min. W. hr. Sobański, wiceprezesi: prez. K. Skarżyński i prez. E. Rauer, sekretarz W. Michałowski, zast. T. Pietraszek, skarbnik A. Auterhoff, zast. S. Krasicki, strzelmistrz J. Leixner, zast. B. Hoffman, gospodarz B. Dmochowski, zast. M. Nowak, radny i komendant pocztu sztandarowego dr. płk. T. Sas-Jaworski, radny M. Cierpiński i kapitan sportowy W. Kawałkowski. — Ilość członków 408. — Składka roczna nadal 6 zł.

Sekretarjat Bractwa czynny jest co poniedziałek w godz. 19—20 w swej siedzibie przy Warsz. T-wie Łyżwiarskim, Szopena 3/11, gdzie przyjmuje się zapisy na nowych członków Bractwa.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

DEUTSCHE JAGD

Nr. 44/1939 str. 777. C. Franke *„Z biologji lisa"*. — Lis nie jest bynajmniej zwolennikiem życia pod ziemią, jakie cechuje np. borsuka. Przekłada on przebywanie na powierzchni ziemi i nawet szczenienie się suk odbywa się nieraz w szczelinach skalnych, w sągach drzew lub rurach przepustowych. Przy jasnej pogodzie spotkać lisa można w zbożach, w kartofliskach czy na łące, drzemiącego w słońcu i nierzadkiemi są wypadki wyrywania się lisa niemal z pod nóg przy polowaniach na kury. Nawet przy pogodzie dżdżystej woli nieraz lis leżeć zwinięty pod osłoną nawisu skalnego czy pod sągiem drzewa, niż wracać do nory, zwłaszcza jeżeli deszcz już zmoczył futro. Natomiast ostry i zimny wiatr zapędza zawsze lisy pod ziemię. Podobnie wpływa okres opadu listowia w kniei. Przypuszczalnie niepokoi lisa ciągły szmer spadających liści, uniemożliwiający mu orjentowanie się w odgłosach lasu. A że o tym samym czasie ma miejsce wzmożony ruch na polu przy kopaniu ziemniaków i buraków, przeto w październiku i w listopadzie najłatwiej znaleźć lisa w norze.

Często powtarzane opowiadania o lisie pędzącym zająca mają słuszną podstawę tylko w stosunku do lisów młodych, posiadających dużo energji, a mało doświadczenia. Nie znając jeszcze rączości zająca, puszczają się one w pogoń za nim, ale wystarczy kilka takich prób, aby młode lisy nabyły przeświadczenia, że jest to przedsięwzięcie bez żadnej szansy powodzenia Zdrowego zająca lis dostanie tylko przypadkowo lub z zasadzki. Dlatego też tak często się daje widzieć zająca spokojnie kicającego koło oddalonego od niego o 20 m. lisa.

Lis, wzorem psa, zakopuje zdobycz po nasyceniu głodu. Autor był świadkiem zachowania się lisa, którego zauważył przy spożywaniu kuropatwy. Właśnie uczta miała się ku końcowi, kiedy z zarośli wysunął się młody królik. Lis doczekał zbliżenia się o 3 kroki, jednym susem skoczył na królika i zdusił go. Nie napoczynając tej nowej zdobyczy, odciągnął ją o 30 kroków i starannie zakopał. — Lis ciężko postrzelony lub zatruty, czując zbliżającą się śmierć, zawsze opuszcza norę. Tłomaczyć to należy wyłącznie brakiem powietrza w norze. Uszkodzone przez strzał czy truciznę płuca potrzebują dopływu świeżego powietrza i właśnie w poszukiwaniu go lis wychodzi na powierzchnię.

Nr. 47/1939, str. 763. A. Rauch *„Powrót koziorożców do Szwajcarji"*. — Stare kroniki stwierdzają, że kiedyś koziorożce alpejskie były zwierzyną pospolitą na całym obszarze Alp, zarówno szwajcarskich, jak włoskich. Ilostan ich zmniejszał się jednak stale i z początkiem 19-go stulecia w całej Europie koziorożce utrzymały się jedynie w ilości około 400—500 sztuk we włoskiej części Alp. Dopiero w 1821 r. rząd ówczesnego Piemontu, ulegając przedstawieniom inspektora lasów, Zumsteina, wydał surowe przepisy zmierzające do ochrony koziorożców, zaś los ich został definitywnie zabezpieczony z wstąpieniem na tron króla Wiktora Emanuela II-go, zapalonego myśliwego i opiekuna zwierzyny. Nowe prawo łowieckie zastrzegło przywilej łowów tylko dla korony, a wzmożona w związku z tem ochrona terenów łowieckich zapobiegła kłusownictwu.

Ale akcja ta ograniczyła się tylko do Piemontu. Alpy szwajcarskie były nadal pozbawione koziorożców. Próby wprowadzenia ich z powrotem nie dawały wyników, gdyż Piemont koziorożców nie sprzedawał, zaś nabywane w ogrodach zoologicznych poszczególne egzemplarze koziorożców stanowiły zbyt szczupły materjał do regeneracji. Spróbowano wówczas krzyżowania ich z pokrewną gatunkowo kozą bezoarską, i aczkolwiek mieszańce przychodziły licznie na świat, to jednak hodowla ich okazała się niemożliwą, gdyż okresy porodów takich mieszańców wypadały w marcu, a więc w czasie, kiedy w wysokich Alpach panują tak dotkliwe jeszcze zimna i śniegi, że koźlęta ginęły masowo.

Dopiero w 1906 r. towarzystwo parku natury w St. Gallen zdołało otrzymać znaczniejszą ilość koziorożców i założyło pierwszą kolonję ich, narazie na przestrzeniach ogrodzonych, a następnie, w miarę stwierdzenia dostatecznej ich aklimatyzacji, ze stopniowem wypuszczaniem koziorożców na wolność. Pomyślne wyniki próby w St. Gallen zachęciły do naśladownictwa i w 1911 r. założono takąż kolonję w Graue Körner, w 1914 r. we Freibergu koło Bergün, w 1920 r., w parku narodowym w Piż Terza, w 1924 r. — w Piz Albris koło Bernina, w 1928 r. — koło Mnicha na obszarze Jungfrau, w 1926 r. — w Engelhorn, w r. 1928 — Vas des Begnes w kantonie Wallis i wreszcie w 1933 r. — w Val Tantermozza na obszarze parku narodowego. W chwili obecnej ilostan koziorożców na obszarze Szwajcarji wynosi około 500—600 sztuk. Obserwacje nad hodowlą koziorożców w wymienionych kolonjach stwierdziły, iż początkowo ilostan zwierząt szybko wzrastał, potem przyrost malał i wreszcie zatrzymywał się bez widocznych przyczyn. W dwu kolonjach nawet wszystkie koziorożce wyginęły. Okoliczność ta zmusiła do rewizji metody hodowli i istotnie udało się mniej więcej usunąć przeszkody, hamujące rozwój koziorożców w kolonjach, czego dowodem jest np. kolonja w Piz Albris, gdzie ilostan koziorożców osiągnął 250 sztuk, a więc prawie połowę ogólnej ilości tej szlachetnej zwierzyny w Szwajcarji.

J. G.

DOBRE I ZŁE

Niezwykle pocieszającym objawem coraz szerszego zainteresowania się ideologicznemi i gospodarczemi zadaniami naszego zorganizowanego łowiectwa jest od początku 1938 r. wciąż wzrastające zapełnianie szpalt pism codziennych, a w szczególności perjodycznych, artykułami o treści łowieckiej.

Jeszcze ważniejszem staje się to, że coraz rzadziej ukazują się „feljetony", reportaże, wzmianki aktualne i t. p. pióra autorów, którzy nigdy nic z łowiectwem nie mieli wspólnego, a których fanfaronadę „myśliwską" i zupełną ignorancję przedmiotu tolerowało dawniej tak wiele pism wśród organów naszej prasy.

Jakkolwiek nieraz kapitalne kwiatki zdarzają się jeszcze od czasu do czasu tu i ówdzie, to jednak wogóle w prasie znać wybitnie właściwy zwrot i w samej ocenie łowiectwa, jako dziedziny gospodarczej i propagandowej, i w doborze autorów, piszących o łowiectwie czy o „rzeczach myśliwskich", przez redakcje.

Mam przed sobą pokaźny stos numerów najrozmaitszych pism, zbieranych w ostatnich miesiącach, po N. R. 1939, gdzie znajdują się liczne prace fachowe lub literackie całego szeregu ludzi, znanych z łamów fachowych pism łowieckich. Jest tego tyle, że nie można się już dziś kusić — dla braku miejsca — o prowadzenie systematycznego p r z e g l ą d u c z a s o p i s m, tem więcej, że i dział wydawniczy w łowiectwie coraz szerzej się rozwija i zapełnia szpalty przeglądem wydawnictw.

Na pierwszem miejscu należy podkreślić znaczne rozszerzenie działu łowieckiego w „Echach leśnych" i „Niwie leśnej" (dodatek do „Ech"), co tem większe ma znaczenie, iż organy te czytają ludzie najbliżej i stale związani z knieją, a więc i z jej naturalnymi mieszkańcami. A wiemy wszakże jak wielu jeszcze naszym leśnikom brak zamiłowania a nawet zasadniczych wiadomości o łowiectwie i jego znaczeniu.

Również niezwykle korzystną pozycją jest dopuszczenie interesów łowiectwa na łamy pism fachowo rolniczych: „Gazety Rolniczej" „Rolnik" (Lwów) i innych, gdzie dawniej dział ten zupełnie był zapoznany.

Pozatem zajmują się łowiectwem wszelkie pisma związane

swą pracą z przyrodą, turystyką i t. p. i drukują nieraz kapitalne fachowe artykuły.

W poważniejszej prasie codziennej spotykamy się również od czasu do czasu z niezwykle interesującemi pracami nierzadko znanych naukowców — weźmy choćby nie tak dawno drukowany niezwykle ciekawy artykuł w „Gazecie Polskiej" Doc. dr. Ł. Kurdybachy: „Myśliwstwo księcia pana", traktujący o wielce charakterystycznej i oryginalnej wśród ówczesnych myśliwych postaci Hieronima Radziwiłła, chorążego litewskiego (1715—1760); o jego zapalczywości w uprawianiu przeróżnych łowów (nieraz bardzo niewybrednych, a nawet wręcz — nawet w owe czasy — karygodnych).

Jeśli dodamy do tego „nastrój przyrodniczo-łowiecki" panujący w szeregu pism dla dzieci i młodzieży, to obraz łowieckich zdobyczy moralnych na łamach prasy całego kraju będzie mniej więcej wyczerpany.

A jeśli zastanowimy się nad tem, jak bardzo ten jaskrawy zwrot w popularyzacji dawniej tak zapoznanej dziedziny naszej oddziałać może na powszechne uświadomienie społeczeństwa o znaczeniu i sukcesach polskiego łowiectwa, osiąganych krok za krokiem wciąż wybitniej w kierunku hodowlanym, ochrony zwierzostanów i ich rozmnoży, ochrony zabytków faunistycznych i wreszcie—gospodarczym, to serca nasze, miłujące tak bardzo naszą knieję, nasz łan i nasze wody, wypełnić musi zasłużona radość z przełamania lodów, które nie tak dawno dzieliły nas myśliwych i społeczeństwo, pomawiając nas niejednokrotnie piórami zbyt „gorliwych" entuzjastów o... instynkty niszczycielskie. WUZET

ROZMAITOŚCI

ZE WSPOMNIEŃ O PRZYRODNIKU POLSKIM KONSTANTYM JELSKIM

Nr. 18 „Łowca Polskiego" z r. 1938 podaje rysunek gryzonia ze wschodnich Andów. Jako synowiec przyrodnika, który pierwszy zdobył okaz tego zwierzęcia, przesyłam dane, które bądź z rozmowy ze stryjem zapamiętałem, bądź zdobyłem z innych źródeł.



Dynomis Branicki.

Zoologiczna nazwa zwierzęcia Dinomys Branicki (Indjanie peruwiańscy nazywają go Urugupi) zostało nadane (po skonstatowaniu przez zoologa francuskiego, że zwierzę było dotychczas nieznane) na cześć hr. Konstantego Branickiego, który środkami swojemi wspierał przez lat wiele poszukiwania Jelskiego.

Około roku 1883 Dinomys ślicznie w Paryżu wypchany przybył do gabinetu warszawskiego uniwersytetu pod opiekę ówczesnego kustosza Władysława Taczanowskiego, znakomitego naszego ornitologa. Jednocześnie szkielet zwierzęcia w szklanej skrzynce postawiono obok okazu. W r. 1915 Dinomysa zabrali Rosjanie wśród innych osobliwości. Po wojnie pomimo poszukiwań naszej Komisji, nie dało się go odnaleźć dla rewindykacji. Zginął również szkielet podczas pożaru gabinetu zoologicznego. Zostało mi wspomnienie szarego plamistego zwierzęcia wielkości zająca.

Dopiero po 30 latach znaleziony został w Andach drugi okaz, a pismo niemieckie Die Koralle w Nr. 7 z 1926 r. podało fotografję przedniej części ciała z krótkim opisem, że zębami jest w stanie przegryzać nawet drut. Pismo wspomina o znalezieniu pierwszego okazu przed 30 laty, ale nazwiska przyrodnika Polaka nie przytacza. Natomiast Brehm w dłuższym opisie podaje nazwisko Jelskiego. Myli się on jednak co do sposobu zdobycia okazu, mówiąc, że na dziedzińcu pewnej fermy (podaje jej rysunek) zastano zwierzę, nie uciekające w swej bezbronności, i zarąbano je szablą.

Konstanty Jelski tak mi opowiadał o swojej ciekawej zdobyczy:

„Wycieczki przyrodnicze w dziewiczych lasach Peruwjańskich odbywałem zawsze w towarzystwie pewnego Indjanina. Bez takiego przewodnika, który kieruje się jakimś instynktem w gąszczu, pozbawionym dróg i ścieżek, byłoby nieuniknione zgubienie się nawet w dzień słoneczny, a cóż dopiero mówić o czasie pochmurnym. Towarzysz mój opowiadał mi o znanych sobie zwierzętach i ptakach z ogromną dokładnością. Jedno takie opowiadanie wskazywało na nieznanego mi nawet z opisów gryzonia, żerującego tylko w nocy, a bardzo rzadko spotykanego. Byłem zgóry pewien, że opowiadanie dotyczy jakiegoś nieznanego w zoologji okazu. Wracając raz o zmierzchu z wycieczki i znajdując się na brzegu puszczy leśnej, spotkaliśmy jakieś zwierzę, które niemal z pod nóg wyskoczyło. Mając stale broń gotową, strzeliłem, trafiając właśnie owego gryzonia. Było to owo nieznane, a tak pożądane stworzenie, które, po zbadaniu przez zoologów paryskich i uznane za gatunek nowy, zostało nazwane Dinomys (wielka mysz) Branicki, na cześć Konstantego Branickiego, mecenasa nauki, któremu zawdzięczam środki na pobyt w Ameryce".

WŁADYSŁAW JELSKI.

Z MIĘDZYKLUBOWEGO KOMITETU KYNOLOGICZNEGO.

Próby polowe.

Związek Hodowców Wyżła Szorstkowłosego (Sekcja Kynol. przy W. Z. M. w Poznaniu, tymcz. biuro — Al. Marcinkowskiego 16 w firmie „Żarówka").

Próby polowe młodych wyżłów, urodzonych w 1938 r. i pokaz wyżłów, urodzonych w 1937 i 1938 r., odbędzie się pod Poznaniem w maj. D-ra Szymańskiego — Rodnicze w dniu 26 kwietnia 1939 r.

Zbiórka w Poznaniu na Górczynie o godz. 9-ej przy ost. przystanku tramwaju Nr. 4.

Jako sędziowie zaproszeni: M. Hr. Czarnecki, A. Gaponów, asystent Dr. Szymański.

Wystawy psów.

Klub Kynologów w Toruniu. Doroczna wystawa psów rasowych w Toruniu odbędzie się w dn. 6 i 7 maja r. b. Informacje udziela biuro Klubu, Toruń, ul. Bydgoska 37.

Z POINTER KLUBU W POLSCE.

23 kwietnia r. b. odbędą się VII field-trialsy Pointer Klubu w Polsce.

Zamknięcie zapisów — 15.IV. o godz. 19-ej. Zgłoszenia przyjmuje biuro Klubu — Warszawa, Nowy Świat 35, tel. 6-66-29.

Z SETTER KLUBU W POLSCE.

30 kwietnia r. b. — VIII field-trialsy Setter Klubu w Polsce. Zamknięcie zapisów nastąpi w dn. 21 kwietnia o godz. 19-ej. Zgłoszenia przyjmuje członek Zarządu Klubu — L. Briesemejster — ul. Pierackiego 15 (czytelnia), tel. 2-11-15.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

ZWOLNIENIA I MIANOWANIA ŁOWCZYCH I PODŁOWCZYCH POWIATOWYCH W WOJ. ŚLĄSKIEM

Zwolniono na własną prośbę z obowiązków Łowczego Powiatowego na powiat Cieszyn p. Inż. Buczackiego Józefa, Cieszyn Zamek.

Na posiedzeniu Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w dniu 13 lutego 1939 r. mianowano Łowczym Powiatowym na powiat Cieszyn p. inż. Kuliga Ludwika, zamieszkałego w Cieszynie, Al. Prez. Mościckiego 10.

Na temże posiedzeniu mianowano Łowczym Powiatowym na powiat frysztacki p. inż. Michejdę Władysława Józefa, zamieszkałego: Orłowa — Łazy (Zaolzie), ulica Żeromskiego.

Następnie mianowano Podłowczymi na powiat cieszyński pp.: inż. Deląga Karola, zamieszk. w Nadleśnictwie Istebna, którego odwołuje się równocześnie ze stanowiska Podłowczego na powiat Pszczyna;

Górniaka Jana, przemysłowca, zamieszkałego w Sibicy (Zaolzie);

Ciemałę Jana, naczelnka gminy, zam. w Wędryni (Zaolzie);

inż. Szczepana Jana, z siedzibą w Nadleśnictwie Dolna Łomna (Zaolzie).

Odwołano pp. Podłowczego na pow. cieszyński inż. Stefana Jasienickiego z Hażlachu oraz Brunona Konczakowskiego z Cieszyna.

Ponadto mianowano na temże posiedzeniu Podłowczym na powiat świętochłowicki p. Dra Adama Jakubowskiego, zam. w Piekarach Śląskich, Lecznica Bracka.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

WOJEWÓDZTWO WARSZAWSKIE

Warszawska Wojewódzka Rada Łowiecka niniejszem zawiadamia, że, wobec niezwołania przez cały szereg powiatów Walnych Zgromadzeń Powiatowych, termin Walnego Zgromadzenia Warszawskiej Woj. Rady Łowieckiej przesunięty został z dn. 28.III.1939 r. na dzień **20 kwietnia 1939 r.** Walne Zgromadzenie odbędzie się o g. 18-ej w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego, przy ul. Nowy Świat Nr. 35.

Porządek dzienny pozostaje taki, jaki wyznaczony był na 28.III.39 r., z dodaniem punktu: wybory delegatów na Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego

WALNE ZGROMADZENIA POWIATOWE

Walne Zgromadzenia Powiatowe są zwoływane przez Łowczych Powiatowych na mocy § 50 statutu P. Z. Ł.

Porządek dzienny Walnych Zgromadzeń Pow. jest następujący:

1. Zagajenie.
2. Wybór 2 asesorów i sekretarza do Prezydjum.
3. Odczytanie protokółu ostatniego Walnego Zgromadzenia.
4. Sprawozdanie Łowczego Powiatowego z działalności Powiatowej Rady Łowieckiej za rok ubiegły.
5. Wybory Członków Pow. Rady Łowieckiej na rok bieżący.
6. Wybory delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
7. Wolne wnioski.

Według powyższego porządku dziennego odbędą się następujące **Walne Zgromadzenia powiatowe:**

3 kwietnia 1939 r. **powiatu Kosów Poleski** woj. poleskiego, w Kosowie Poleskim, w lokalu Starostwa Powiatowego, o godzinie 13-ej.

4 kwietnia 1939 r. **powiatu Piotrków** woj. łódzkiego w Piotrkowie, w sali Syndykatu Rolniczego przy ul. Piłsudskiego nr. 63, o godz. 15 min. 30.

11 kwietnia 1939 r. **powiatu Krzemieniec** woj. wołyńskiego, w Krzemieńcu, w lokalu Zjednoczenia Organizacyj Społecznych przy ul. Kołłątaja, o godz. 17-ej.

15 kwietnia 1939 r. **powiatu Olkusz** woj. kieleckiego, w Olkuszu, w lokalu Wydziału Powiatowego, o godz. 12-ej.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 6.—; za pół roku zł. 12.—; za rok zł. 24.—; miesięcznie zł. 2.—. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 5.—; za pół roku zł. 10; za rok zł. 20.—; miesięcznie zł. 1.75. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklam. w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrach. Nr. 206, Warszawa 1.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł.
Przed tekstem 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIE

Dyrekcja Lasów Państwowych Okręgu Siedleckiego w Siedlcach, ul. Poniatowskiego Nr. 2, telefon Nr. 128 posiada do wydzierżawienia od dnia 1.III.1939 r. prawo polowania na terenach łowieckich Polesia w następujących Nadleśnictwach:

L. P. objektu	Nazwa Nadleśnictwa Państwowego	Rodzaj zwierzyny	Pow. w ha	Ilość kompleksów	Cena wywoławcza za 1 ha w stosunku rocznym
1	Brześć	sarna, zając	1898,28	2	0,20 zł.
2	Czerniany	sarna, zając, cietrzew, słonka, kuropatwa	2369,99	3	0,15 zł.
3	Czerniany	sarna, dzik przech., zając, wilk, cietrzew, jarząbek, słonka, kuropatwa	1768,40	3	0,10 zł.
4	Kobryń	sarna, dzik, zając, cietrzew, jarząbek	2212,90	1	0,10 zł.
5	Kobryń	sarna, zając, lis, cietrzew	1885,50	1	0,10 zł.
6	Łuniniec	sarna, dzik, zając, lis, cietrzew, jarząbek, słonka, głuszec	2300,—	1	0,20 zł.
7	Łuniniec	sarna, dzik, zając, lis, cietrzew, słonka	3956,64	1	0,20 zł.
8	Łuniniec	dzik, wilk przech. cietrzew, kaczki	3157,55	2	0,10 zł.
9	Łuniniec teren nadgraniczny	sarna, dzik, zając, cietrzew, jarząbek	1680,83	2	0,05 zł.
10	Pińsk	sarna, dzik, zając, kaczki	748,10	3	0,08 zł.
11	Pińsk	dzik, zając, lis	1106,00	2	0,10 zł.
12	Pińsk	sarna, dzik, zając, lis	503,40	1	0,10 zł.
13	Miedna	sarna, zając, cietrzew, jarząbek, słonka, kuropatwa	6186,31	3	0,20 zł.
14	Lelików	sarna, dzik, lis, zając, cietrzew, jarząbek, słonka, kaczka	7056,90	2	0,10 zł.
15	Stwiga tereny nadgraniczne	łoś, sarna, dzik, zając, wilk, lis, cietrzew, głuszec, kaczka	3296,40	2	0,20 zł.
16	Sosnowo	sarna, dzik przech., zając, lis, cietrzew	3144,78	4	0,10 zł.
17	Sosnowo	sarna, dzik przech., zając, lis, cietrzew, jarząbek, kuropatwa	2781,96	2	0,15 zł.

Na dzierżawę wymienionych rewirów Dyrekcja ogłasza przetarg ofertowy, zastrzegając sobie prawo wyboru oferentów. Powyższe ceny są minimalne. Dodatkowych informacyj udziela Dyrekcja Lasów Państwowych.

DYREKCJA LASÓW PAŃSTWOWYCH
w Siedlcach